

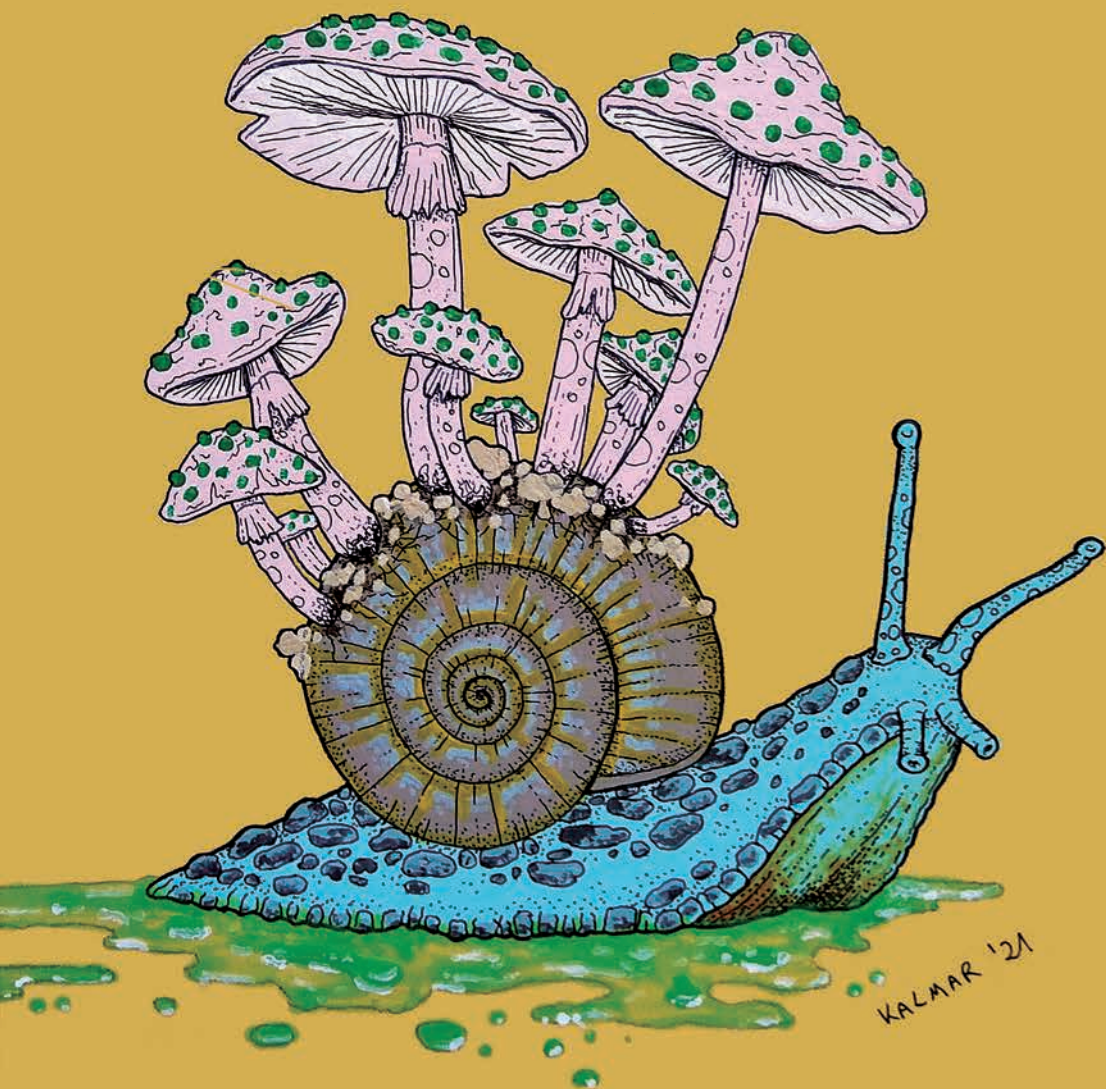
381 • CZERWIEC 2022



INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



KALMAR '21

ODGRZEWANY STEK Z DINOZAURA

Ten czerwcowy wstępniak napisałem w maju, tuż przed kolegium redakcyjnym poprzedniego numeru. Zainspirowała mnie ulotka filmu *Jurassic World Dominion*. Nie widziałem go jednak, więc nie będzie to recenzja; za wcześniej by zresztą na nią było (potencjalne spoilery!). Powrót dinozaurów zainspirował mnie do refleksji bardziej ogólnych...

Pierwszą „dinozaurzą” trylogię oglądałem w kinie. Swoje wrażenia odnotowywałem zresztą – z naturalnymi przerwami – na tych łamach. Oczywiście bardzo spodobał mi się pierwszy film. Zupełnie z kolei nie podobała mi się część druga (tytuł mojej recenzji: *Nic nie przetrwało*). Zaakceptowałem natomiast trójkę – jako swoisty „rozdział” dopisany do jedyńki.

Przed wszystkim jednak zachwycała mnie książka (przeczytana jednym tchem, za namową klubowego koleżeństwa, niewiele po obejrzeniu pierwszego filmu). Spielberg zrobił kawał znakomitego kina. Ale Crichton napisał porywającą, godną samego Wellsa, rozprawę o odpowiedzialności naukowca. Dokładniej też analizowałem to swego czasu w „Informatorze”.

Z drugiej trylogii widziałem tylko jedynekę – i to w telewizji. Na tej samej zasadzie obejrzą kiedyś najnowszy film; najpierw jednak (może w hotelu podczas którejś delegacji) upolować muszę część środkową. Ale na razie wystarczy mi całkowicie notka w ulotce.

Czytam w niej m.in., że dinozaury opuściły odizolowane wyspy i rozprzestrzeniły się na stałym lądzie. Czyli stało się coś, co wydawało mi się podczas lektury wizją apokalipsy! Na myśli mam przede wszystkim raptory. Tu jednak muszę odnieść się do inteligencji zwierząt...

Kiedyś ze znajomymi zastanawialiśmy się, czemu delfiny nie stworzyły cywilizacji. I doszliśmy do wniosku, że przyczyną może być nie tylko niedostatek (jednak...) inteligencji oraz brak kończyn. Im jest po prostu za dobrze! Funkcjonują w środowisku, w którym znakomicie dają sobie radę (przynajmniej tak było do antropocenu) – i, by utrzymać potrzebny im życiowy komfort, niczym nie muszą się wspomagać. Pierwsi ludzie na sawannie nie mieli tego luksusu. Mieli za to przeciwstawny kciuk. I najwidoczniej jednak nieco więcej rozumu.

Ludzka inteligencja. Według *Robota* Wiśniewskiego-Snerga – kolejna kategoria bytu, dla form niższych (minerały, rośliny, zwierzęta) niezauważalna; przypominam, że zgodnie z tą koncepcją – ludzkie ciało należy do kategorii zwierzęcej. Nawet nasi najbliżsi genetycznie krewni – szympansy – nie zdają niektórych tekstów na samoświadomość, z którymi już radzą sobie kilkuletnie dzieci. Czym owa inteligencja jest i skąd się wzięła – nie mnie tutaj dochodzić.

Velociraptory w pierwszym filmie cyklu są groźne, szybkie, uzbrojone – ale nie są zanadto bystre. W powieści natomiast ich inteligencja dorównuje inteligencji delfinów, małą czy ośmiornic. Pamiętam scenę (jest ona tylko w książce), gdy zaczynają one rozmontowywać konstrukcję budynku, w którym (za pancerną szybą) widzą ludzi. Po prostu odkryły, do czego służą śruby – i zaczynają je wykręcać. Ta robota idzie im opornie, ale posuwają się cały czas do przodu (przypomina to ośmiornicę, która potrafi odkręcić pokrywkę słoika, w którym znajduje się krewetka). A do tego te kły i pazury... Zwierzęta tak wyposażone przez naturę, a do tego na tyle inteligentne – wypuszczone na wolność w dzisiejszym świecie, gdzie nie mają naturalnych wrogów, szybko opanowałyby szczyt drabiny pokarmowej!

Byłyby groźniejsze od tyranozaurów i innych wielkich drapieżników tamtej ery. Duże zwierzę musi mieć bowiem odpowiedni teren łowiecki oraz łatwiej je namierzyć. Szalejący w interiorze T-Rex byłby oczywiście bardzo groźny – ale odpowiednio wyposażona „ekspedycja karna” byłaby w stanie go wytropić i zlikwidować. A spróbujcie, w głębi amazońskich lasów, znaleźć i powstrzymać tysiące niewielkich raptorów! Kontynent południowoamerykański dość szybko stałby się ich wyłączną domeną; jedynie otwarte przestrzenie (np. pustynie Meksyku) mogłyby powstrzymać dalszą ekspansję tego gatunku. To wizja zaiste niewyobrażalna!

Pewna modyfikacja wizerunku – początkowo bezwzględnych i niepowstrzymanych zabójców – nastąpiła w trzecim filmie („handlowy” układ z jarami); postępowwała dalej w nowej trylogii. Jak wygląda to w finale (?) sagi – może ktoś napisze w recenzji po wakacjach?

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#381 • CZERWIEC 2022

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Urodziny członków

Protokół z posiedzenia Zarządu GKF

Piotr Kalka

Jak to było na Pyrkonie

Nasz współpracownik przypomniał swój debiut

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Filmowisko

Niusy

LITERATURA

Krzysztof T. Dąbrowski

Leśny azyl

PUBLICYSTYKA

Adam Cetnerowski

Spiel des Jahres – Top 10, sezon 4. Odcinek 6

Grzegorz Szczepaniak

Okruchy Ogana. Korespondencja 132

Karol Ginter

Recenzje Karola

Jan Plata-Przechlewski

Jakób a Remus

Krzysztof Szkurłatowski

Adaptacja w telegraficznym skrócie...

Artur Łukasiewicz

Recki z myszką: Gry wojene

Oko na seriale: Halo

Tomasz Magulski

Fundacja – czyli dzieje cywilizacji

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

KOMIKS

Adam Mateja, Andrzej Prószyński, Jan Plata-Przechlewski

Makroorganizm & Mikroorganizmy

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

4 ADRES:
5 80-395 GDAŃSK
UL. OPOLSKA 2

6 STRONA:
12 WWW.GKF.ORG.PL

KONTO BANKOWE:
16 VOLKSWAGEN BANK
42 21 30 0004 2001 0671 8241 0001

19 KRS: 0000098018

21 „INFORMATOR GKF”
ISSN 1505-8476
WYDAWNICTWO BEZPŁATNE
28 NAKŁAD 120

REDAKCJA:
JAN PLATA-PRZECHELEWSKI
14 GRZEGORZ SZCZEPANIAK
MARCIN SZKLARSKI
MICHAŁ SZKLARSKI
34 JAROSŁAW S. KOSIOREK
ARTUR ŁUKASIEWICZ
36

STAŁA WSPÓŁPRACA:
38 DOROTA NOWAK
ADAM CETNEROWSKI
41 JANUSZ PISZCZEK
ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI
44 ALEKSANDRA MAŁAJ
48 ADAM MATEJA
MARTA KARBOWSKA

51 E-MAIL:
54 INFORMATOR@GKF.ORG.PL

OKŁADKA:
PIOTR „KALMAR” DZIEWANOWSKI

55 DRUK:
PRINT GROUP SP. Z O.O.
HTTP://PRINTGROUP.PL

Teksty publikowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania autorów i nie zawsze się pokrywają z poglądami redakcji.

URODZINY

Drodzy wakacyjni Urodzeńcy!

Życzymy Wam hucznych imprez i udanych wakacji
oraz skutecznego trzymania się z dala
od małpiej ospy, ruskiego miru i wszelkiej innej zarazy!

Redakcja INFO

LIPIEC

- 3 Irena Gwozdecka
- 7 Anna Jarmolińska-Nowak
- 8 Wojciech Czarnecki
Michał Kozina
Ewa Rybicka-Szylka
- 10 Anna Papierkowska
- 14 Tomasz Hoga
- 15 Emila Wisniewska
- 18 Karolina Kajzer
- 20 Mariusz Pawlicki
- 31 Anna Kwiatkowska-Baranowska

SIERPIEŃ

- 1 Maciej Więcek
- 2 Przemysław Juzwisin
- 4 Witold Nicowski
- 10 Monika Karwacka
- 11 Monika Kurpas
- 18 Dominik Chojnacki
- 22 Marta Karbowska
Barbara Kosińska
- 23 Aleksandra Markowska
- 25 Emir Muchła
- 27 Władysław Wojtkiewicz
- 28 Aleksandra Mochocka
Karol Wiśniewski
- 30 Wojciech Olszewski

WAMPIURS epizod...
WARS chruściany



BY NIE WYGASŁO
JĄDRO ZIEMI -
MUSIMY WRZUCIĆ
KILKA NARĘCZY
CHRUSTU DO
WULKANU W
GÓRZE PRZEZ-
NACZENIA

jp22

TAKI SKARB
NA SPALENIE!

WOLAŁBYM
UTRZYMAĆ OGIENI
POD KOTŁEM
PIEKIELNYM...



...A JA - ROZNECIĆ ZAR POD
INNĄ APARATURĄ



PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA ZARZĄDU I RADY STOWARZYSZENIA GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

12 CZERWCA 2022 R.

I. Sprawy organizacyjne

1. Zarząd, razem z Radą Stowarzyszenia, dyskutował nad adaptacją lokalu w piwnicy Domu Kultury przy ulicy Śląskiej jako nowej siedziby klubu. Wszyscy obecni opowiedzieli się za kontynuowaniem rozmów z Domem Kultury w celu uzgodnienia warunków umowy i jej finalizacji.
2. Omówienie potencjalnego wzięcia udziału klubu (jako organizator strefy planszówek) w konwencji pn. Festiwal Historii Fantastycznych „Wielooświaty” w Sopocie.
3. Zarząd zdecydował o rezygnacji z programu Pitax.

II. Sprawy personalne

1. Nowi członkowie:
 - Dominika Maj (GKF)
 - Karol Wiśniewski (GKF)
2. Przeniesienia:
 - Damian Stankiewicz (GKF > Angmar)



PIOTR KALKA

JAK TO BYŁO NA PYRKONIE...

Kiedy Grzegorz Szczepaniak dowiedział się, że wybieram się na tegoroczny Pyrkon – powiedział, że koniecznie muszę opisać swoje wrażenia z tej eskapady. A ponieważ z redaktorem lepiej żyć w zgodzie, siedzę właśnie w opóźnionym o 100 minut pociągu relacji Poznań–Gdynia i piszę tę relację na gorąco (*nomen omen*: temperatura na dworze przekracza 30 stopni).

Zaproszenie na Pyrkon dostałem wraz z moją drogą żoną Moniką od niezastąpionych Mandalorian, którzy nie raz byli gośćmi na organizowanym przez nas w Wejherowie ForceConie (pyrkonowy wywiad z naszym przyjacielem Piotrem Minturą, członkiem Mando Mercs – Vu'traat Clan, ukaże się w kolejnym numerze „Informatora”). Ponieważ, mimo wielu lat „siedzenia w fantastyce”, nigdy nie byłem na konwencie w Poznaniu – zaproszenie przyjęliśmy z dużą radością. Pominę sprawy organizacyjne i logistyczne związane z wyprawą do stolicy Wielkopolski i skupię się na (wyraźnie chcę to podkreślić!) zupełnie subiektywnej ocenie tego największego obecnie konwentu w Polsce.

Pyrkon od wielu już lat odbywa się na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich – i jest to lokalizacja nad wyraz słuszna, zważywszy na ogrom atrakcji i liczbę uczestników. Pisząc te słowa, nie wiem, ilu gości w sumie zawitało na kończącej się dzisiaj imprezę; ale słyszałem, że naliczono ponad 50 tysięcy odwiedzających (kilka dni po napisaniu tego tekstu Pyrkon oficjalnie podał informację, że na konwencie było 55847 uczestników, nie licząc wystawców i obsługi). My spędziliśmy na konwencie tylko sobotę – i faktycznie: tłumy były nieprzebrane. Być może ta ogromna frekwencja była w jakiś sposób odreagowaniem na smutne covidowe lata, gdy imprez nie było? Pyrkony 2020 i 2021 nie odbyły się, podobnie zresztą jak nasze wejherowskie ForceCony. Jeżeli chodzi o samą organizację imprezy, to (w mojej ocenie) była ona dobra, ale jednak nie doskonała (ale o tym później). W wielkich halach MTP zmieściło się chyba wszystko, o czym może marzyć przeciętny miłośnik fantastyki. Były na przykład olbrzymie Strefy Gier – zarówno karcianych, planszowych, fabularnych, jak i komputerowych. Z dużą nostalgią przypatrywałem się kilkudziesięciu sztukom Atari, Commodore czy Amigi, na których starsi i młodszy pyrkonowicze grali w gry, które



pamiętam z lat 80. i 90. Oczywiście, nowe produkcje na nowym super sprzęcie także były obecne i „robiły robotę”. Na grach niekomputerowych specjalnie się nie znam, ale ponieważ widziałem ciżbę i entuzjazm graczy, wydaje się, że też było dobrze. Tłumy przewijały się oczywiście także przez Krainę Wystawców – czyli hale, gdzie można było kupić dosłownie wszystko, co chociaż w minimalny sposób zahacza o fantastykę, a właściwie dużo, dużo więcej. Obecni byli chyba wszyscy liczący się wydawcy, producenci gier, figurek, sprzętu, modeli, gadżetów i wszelkiego innego dobra. Nieźle działał również kiermasz z używanymi książkami, komiksami, płytami. Mimo wcześniejszych ascetycznych planów – sami wyszliśmy z siatką książek i kilkoma koszulkami :D

Na centralnym placu Pyrkonu ustawiono scenę muzyczną (Scena Plenerowa), na której występowali różnego rodzaju wykonawcy. Nie jestem jednak w stanie określić, jak sprawdzała się ta atrakcja, gdyż lejący się z nieba żar skutecznie zniechęcał mnie do przebywania na zewnątrz. Przechodząc obok, widziałem jednak wykonawcę – niewątpliwie z Japonii – który potrafił nawet w tym upale zachęcić kilkaset osób do skakania. Na wspomnianym placu stały też dwa autobusy, w których można było honorowo oddać krew. Była oczywiście także dość spora Strefa Gastro – gdzie, nawet w nie najlepszej cenie, można było zaspokoić głód i pragnienie, w tym także zimną „zupą chmielową”.

Z racji osobistych zainteresowań najwięcej czasu spędziliśmy w pawilonie nr 15, zwanym P-C-P (Poznań Congres Centre). W jego podziemiu znajdowała się Strefa Wystaw, gdzie zobaczyć można było różnego rodzaju kolekcje, w tym wspomniane stoisko Madalorian. Były wystawy grafik – m.in. Wojciecha Siudmaka, a poza tym setki marek, figurek, modeli itp., itd. Swoje stoisko w stylu *Fallout 3022* miał również kolejny z dawnych bywalców ForceConu – Sebastian Gołaś (Shadown Land).

Na parterze pawilonu 15 znajdowały się sale prelekcyjne – mniejsze i większe, gdzie można było wziąć udział w przeróżnych spotkaniach, wykładach i prezentacjach. I tu pierwsza uwaga: pomimo tego, że przybyliśmy na Pyrkon zaraz po otwarciu, nie starczyło już dla nas egzemplarzy





gazetki z dokładnym programem konwentu. Oczywiście, można było używać wersji na telefon, ale to po pierwsze nie to samo, a po drugie, jeżeli już się decydować na gazetkę tradycyjną, to powinna być ona wydrukowana w wystarczającym nakładzie. Także informacje na drzwiach poszczególnych sal w kwestii godzin i tytułów prelekcji były w mojej ocenie niewystarczające, lub nie było ich wcale. Powodowało to lekki chaos z chodzącymi „w tę i we w tę” ludźmi oraz sytuacji, w których stało się w kolejce, nie mając pewności, do czego się stoi ;-). Na szczęście dość duża grupa tzw. gźdaczy (czyli wolontariuszy-informatorów) w miarę sprawnie ogarniała problemy i odpowiadała na wszystkie pytania. System wpuszczania na prelekcje był złożony. Pierwszeństwo miały osoby z tzw. tokenami, czyli takie, które zarejestrowały się na dane spotkanie wcześniej przez internet, a w drugiej kolejności ludzie z kolejki bez tokenów. Powodowało to pewne problemy i sytuacje stresowe. Duża część osób kupowała bowiem bilety na Pyrkon w chwili, gdy wszystkie tokeny były już zarezerwowane, więc – gdy spotkanie cieszyło się dużą frekwencją – nie mieli oni szans na wejście. Widziałem na własne oczy zapłakaną nastolatkę z naręczem książek swojej ulubionej autorki, która nie dostała się na spotkanie, a udział właśnie w nim był głównym powodem jej przyjazdu na Pyrkon (w tym przypadku na szczęście gźdacze zastosowali jakiś fortel – i w końcu roniąca czy jak grochy dziewczeczka weszła na salę). Nierzadkie były sytuacje, gdy na wykład mogło wejść 200 osób, a w kolejce czekało 600. Z drugiej strony – były spotkania, na które przyszło 5 osób, ale nie było już możliwości wejść na taką salę 5 czy 10 minut po rozpoczęciu prelekcji. Zdaję sobie sprawę, że tak duża liczba spotkań/wykładów/prelekcji wymaga logistycznej regulacji – odnoszę

jednak wrażenie, że nie do końca wszystko zadziało jak powinno i że zabrakło pewnej elastyczności. Pomijając jednak opisaną przeze mnie łyżkę dziegciu – bezlik i różnorodność tematów oraz zaproszonych gości uznać należy za solidną beczkę miodu. Dla mnie najciekawszą z prelekcji, na które udało mi się dostać, był bardzo zaskakujący dla mnie tematycznie wykład Andrzeja Pilipiuka. Autor przygód Jakuba Wędrowczyca przez godzinę opowiadał bowiem – z dużą swadą i humorem – o... znaczkach pocztowych i swojej filatelistycznej pasji. Było naprawdę ciekawie. Jeżeli chodzi o spotkania z pisarzami dotyczące ich twórczości – najważniejsze były dla mnie dwa: z Robertem M. Wegnerem oraz Grahamem Mastertonem. Wegner opowiadał oczywiście o Meekhanie, a wisienką na torcie spotkania było wygłoszone przez autora oświadczenie, że skończył wreszcie pisać kolejny tom. Informację tę sala przyjęła z prawdziwą euforią. Natomiast na spotkaniu z Grahamem Mastertonem – któż w początku lat 90. nie czytał *Manitou?* ;-) – okazało się, że autor (mimo słusznego wieku) jest niezwykle żywotny, dowcipny i po prostu bardzo, bardzo fajny. Opowiadał o początkach swojego pisania, pracy w magazynie „Penthouse”, swojej polskiej żonie oraz kulisach pierwszej umowy na wydanie książki w Polsce (pod koniec lat 80.), kiedy wydawca zamiast twardej waluty zaproponował mu honorarium w ikonach i kiełbasie. To było naprawdę udane spotkanie.

Na piętrze pawilonu 15, na które można było wjechać ruchomymi schodami (!), znajdowała się Strefa Autografów. Twórców składających swoje podpisy było w ciągu dnia kilkudziesięciu, a kolejki sięgały niekiedy setek osób (na moje oko do Grahama Mastertona stało z 500 osób). Nam udało się zdobyć autografy od Jacka Dukaja, Andrzeja Pilipiuka i wspomnianego Grahama Mastertona. Nie





Graham Masterton



Jacek Dukaj

ukrywam, że ze Strefy Autografów wyszedłem usatysfakcjonowany.

Na koniec krótka refleksja na temat zjawiska, które osobiście dość mocno mnie zaskoczyło. Chodzi o tzw. cosplay – profesjonalny i amatorski. Oczywiście jest, że na konwentach jest grupa osób (powiedzmy 10–20%), które przybywają na nie przebrańe, w stylu ulubionych przez siebie bohaterów czy światów. Na tegorocznym Pyrkonie miałem wrażenie, że proporcje są odwrotne. Że tylko 10–20% uczestników nie przebrała się z okazji konwentu. Z dużym zdziwieniem przyjąłem także proporcje reprezentacji poszczególnych fantastycznych konwencji. Zastrzegając, że opisuję tylko jeden dzień (sobotę) – muszę odnotować, że moje obserwacje składają mnie do stwierdzenia, iż absolutną dominację w cosplayowym świecie zdobyła manga i anime (lub coś podobnego, nie jestem bowiem w stanie wyłapać różnic między niektórymi stylami). Żaden z innych znanych mi fantastycznych wszechświatów nie był tak widoczny, a bliskie memu sercu klimaty gwiazdnowojenne, chociaż obecne, stanowiły jedynie niewielki wycinek (oczywiście ilościowy – jakościowo było w mojej ocenie bardzo dobrze). Całkiem dużo było również stylizacji steampunkowych, cyberpunkowych i postapo, widziałem też sporą grupę ludzi przebranych w pluszowe kostiumy wilków (psów?) – ale niestety, z powodu swojej niewiedzy, nie jestem w stanie opisać, o co chodziło.

Atrakcji na Pyrkonie było oczywiście bezwzględnie więcej niż zdołałem zobaczyć i opisać w tej krótkiej relacji. Wiem, że działo Nocne Kino Plenerowe, że można było pograć w siatkówkę, że odbywały się dziesiątki warsztatów, gier muzycznych, koncertów, konkursów i turniejów. Jednego jestem pewien: nudzić się na Pyrkonie naprawdę było

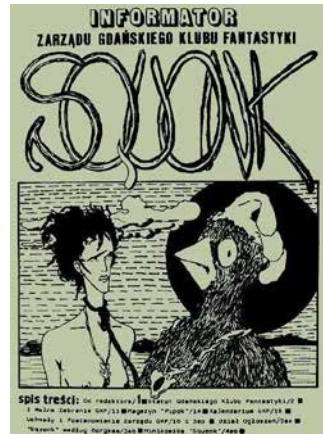


ciężko. Myślę, że – jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie – to w przyszłym roku zdecydujemy się na pełny, trzydniowy udział w wielkopolskim konwencji; do czego i Państwa zachęcamy ■

Monika Kalka, Mando Mercs – Vu'traat Clan,
a także autor reportażu i zdjęć Piotr Kalka

SKROMNY JUBILEUSZ

35 lat temu, w czerwcu 1987 roku, ukazał się pierwszy numer „Informatora Zarządu Gdańskiego Klubu Fantastyki Squonk”. Redaktorem naczelnym był Krzysztof Papierkowski, a wspierał go Jerzy Szyłak. Biuletyn w tej formule (kartonowa okładka, oprawa zeszytowa) ukazał się jedynie dwa razy (w numerze drugim do zespołu redakcyjnego dołączył... Jan Plata-Przechlewski). Efemeryczną mutacją okazał się ulotkowy „Bryk” ze stycznia 1988 (ledwie 4 strony A4). W marcu 1988 „Informator Zarządu Gdańskiego Klubu Fantastyki” wyszedł w nowej formule, która – stale rozwijana – trwa do dziś. W 1991 roku skróceniu uległ tytuł – do „Informatora Gdańskiego Klubu Fantastyki”; opatrzone go numerem ISSN, ponownie zaczął być zszywany, pojawiły się kolorowe okładki i liczni zewnętrzni współpracownicy. A 381. jubileuszowy numer liczy aż 56 stron! Pomyśleć, że były czasy, kiedy 16–20 stron to już było dla Informatorka dużo... ■



NASZ WSPÓŁPRACOWNIK PRZYPOMNIAŁ SWÓJ DEBIUT

14 czerwca br. Krzysztof Szkuřatowski – często publikowany i nagradzany poeta, prozaik, publicysta, fotograf – miał kolejne spotkanie autorskie w wejherowskiej Powiatowej Bibliotece Publicznej przy ul. Dworcowej.

Tym razem był to znowu tomik japońskiej poezji haiku – pod tytułem *Pięć lat*. O tyle nietypowy, że było to drugie wydanie debiutanckiego tomiku sprzed trzydziestu trzech lat, pierwotnie opublikowanego w technikum, tuż przed maturą. Spotkanie prowadziła znana wejherowska polonistka Wanda Kantecka, a sala czytelni PBPW była pełna.

Autor ze swadą opowiadał o nauce w ogromnym kompleksie zielonogórskiego technikum, o świetnych nauczycielach i wychowawcach (ze szczególnym uwzględnieniem nauczycielki języka polskiego, dzięki której w ogóle zadebiutował), o losie literackiej duszy wśród raczej technicznych talentów, o internacie, o przyrodniczych i kulinarnych walorach Zielonej Góry. Także o zainteresowaniu tą formą poezji – m.in. dzięki podobnemu postrzeganiu świata (wrażliwość na otaczającą przyrodę i na ludzkie losy) oraz spotkaniu (pod koniec komuny!) ze studium w tym mieście Japończykiem.

Kilkoro zaprzyjaźnionych z Biblioteką osób recytowało wybrane utwory. Zapewniony też został poczęstunek w postaci rozmaitych smakołyków popularnych w PRL-u (w tym oryginalnych win z nieistniejącej już wytwórni!) – dostępny dzięki rozdawanym przez bohatera wieczoru „kartom stołówkowym”.



Na koniec prowadząca spotkanie wraz z dyrektorem Biblioteki – Barbarą Gusman – wręczyła autorowi kwiaty; on obu paniom również zrewanżował się roślinnością w koszykach.

Według notki w zaproszeniu – wcześniejsze spotkania odbyły się już w Zielonej Górze i we Wrocławiu, kolejne miało się odbyć w Elblągu. Tu na przeszkodzie stanął jednak fakt, iż cały nakład drugiego wydania *Pięciu lat*, dokonanego przez niewielkie lokalne wydawnictwo, został właśnie wykupiony ■

wg: tubawejherowa.pl



fot. Jan Plata-Przechlewski



ADAM „CETI” CETNEROWSKI SPIEL DES JAHRES – TOP 10, SEZON 4

ODC. 6 EL GRANDE

El Grande

Autor: Wolfgang Kramer, Richard Ulrich

Rok wydania: 1995

Liczba graczy: 2–5

Czas gry: 60-120 minut

Ranking BGG*: 85

Rok nagrody: 1996

El Grande to definicja gry *area control**. Nie jest to specjalnie istotne, gdyż mówimy o Eurogrze*, ale wcielamy się w szlachciców w renesansowej Hiszpanii. Próbujemy rozsyłać swoich popleczników po różnych regionach, zdobywając punkty zwycięstwa.

W każdej z dziewięciu rund gracze po kolei zagrywają kartę z ręki. Wysokie karty pozwolą rozegrać turę wcześniej, niskie pozwalają zdobyć dodatkowych popleczników. Następnie, wg kolejności zagranych kart, gracze biorą jedną z odkrytych kart akcji, wystawiają swoich popleczników na planszy i opcjonalnie wykonują akcję – która na ogół wiąże się z przemieszczeniem swoich lub cudzych

popleczników. Co trzy rundy następuje punktacja: w każdym regionie przydzielane są punkty za pierwsze trzy miejsca (licząc wg liczby popleczników).

Ciekawa jest mechanika zamku (Castello). Wystawiani poplecznicy mogą być wrzuceni do zamku. A podczas punktacji najpierw zdobywa się punkty za zamek; następnie zaś każdy z graczy potajemnie decyduje, do którego regionu wystać tych popleczników – co może zmienić dramatycznie sytuację na planszy.

Moja opinia

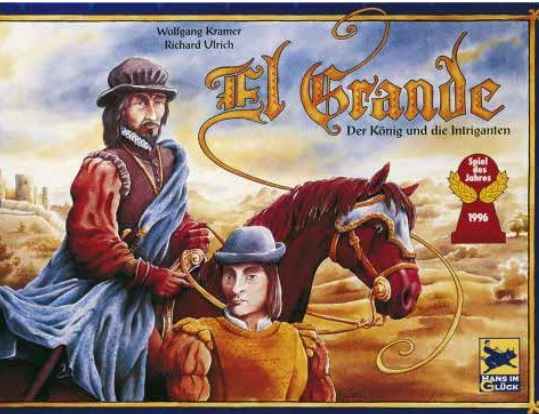
Od dawna chciałem zagrać w tę grę, lecz nie mogłem znaleźć kopii; aż okazało się, że jest to jedna z ulubionych gier Adasia (cześć!). Po różnych perturbacjach, związanych z covidem i Nordconem, udało mi się w końcu rozłożyć ją na stole. Zagraliśmy. I nic. Taka sobie gra.

Nie da się ukryć, że jest to wydestylowana mechanika *area control* – i chyba w tym problem. Brakuje tu jakiejś fabuły, narracji albo mechanicznej przyprawy, która dodałaby temu wszystkiemu jakiegoś uroku.

Polecam tylko koneserom gier planszowych ■

Słowniczek:

Area Control (kontrola terenów) – mechanika, w której mamy mapę kraju, terytorium, budynku podzielonego na obszary. Gracze umieszczają na poszczególnych obszarach swoje pionki (reprezentujące wojska, wpływ, itp.) i zdobywają punkty za przewagę (najwięcej, więcej niż połowa, itp.). Area Control może być główną mechaniką gry lub mechaniką pomocniczą.





BGG – BoardGameGeek (boardgamegeek.com) – strona o grach planszowych z jedną z największych, jeśli nie największą, bazą danych gier planszowych; ponadto na stronie znajdują się bardzo aktywne fora dyskusyjne, rynek gier i wiele innych przydatnych materiałów. Niezbędny zasób prawdziwego fana gier planszowych. GKF też ma swój profil z listą gier w bibliotece: https://boardgamegeek.com/collection/user/GKF_

Dodatek (rozszerzenie, ang. expansion) – dodatkowe elementy do gry kupowane w osobnym zestawie. W wersji minimalistycznej są to nowe karty lub żetony. W wersjach rozbudowanych zawierają całe pudełko nowych elementów oraz sporo zmian w zasadach. Szczególnym przypadkiem są tzw. Standalone Expansion (samoistne), które

można używać jako oddzielnej gry lub połączyć z poprzednią częścią.

Euro, Eurogra – gry tego typu charakteryzują się determinizmem, ujednoczonymi zasadami (kosztem klimatu czy „realizmu”) i (często) brakiem interakcji negatywnej pomiędzy graczami. Nazwa wzięła się z wczesnego okresu, gdy większość tego typu gier powstawała w Europie, szczególnie w Niemczech.

Punktowanie – spora część gier jako warunek zwycięstwa ustala zdobycie największej liczby punktów. W tego typu grach punktowanie może odbyć się raz (na końcu gry) lub kilkakrotnie podczas gry (w ustalonych bądź wymuszonych przez graczy momentach – oraz na końcu gry). Punkty zdobywa się m.in. za zbudowaną infrastrukturę, kontrolowany teren, układy na planszy.

źródło: boardgamegeek.com

JANUSZ PISZCZEK

Lato – to tradycyjnie okres ubogi w premiery wydawnicze. Wydawcy skupiają się na sprzedaniu tego, co wypuścili na rynek wiosną, w okresie sezonu wszelkiego rodzaju targów książki. Lato – to okres festiwali i kiermaszy książkowych, skierowanych dla turystów poszukujących lżejszej, sprawdzonej lektury. Mimo tego możemy się spodziewać kilku ciekawych premier i sporej porcji wznowień.

ZAPOWIEDZI LIPCA

Żarna niebios – Maja Lidia

Kossakowska

Data wydania: 1 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Fabryka Słów

Republika smoka (The Dragon Republic) – Rebecca F. Kuang

Data wydania: 1 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Fabryka Słów

Druga Fundacja (Second Foundation) – Isaac Asimov

Data wydania: 5 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Duchy nocy kupały – Antologia

Data wydania: 5 lipca 2022

Wydawca: Zysk

Dziewczyna, która pokochała Toma Gordona (The Girl who Loved Tom Gordon) – Stephen King

Data wydania: 7 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Królestwa i chaos (Kingdoms and Chaos) – Kel Kade

Data wydania: 8 lipca 2022

Wydawca: Fabryka Słów

Tarcza Szerni – Feliks W. Kres

Data wydania: 8 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Fabryka Słów

Zdradziecka królowa (The Trailor Queen) – Danielle L. Jensen

Data wydania: 8 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Galeria Książki

Grzechy ojców – Agnieszka Miela

Data wydania: 12 lipca 2022

Wydawca: Zysk

Czas jest najprostszą rzeczą (Time Is the Simplest Thing) – Clifford D. Simak

Data wydania: 12 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Dziewczyna z dzielnicy cudów – Aneta Jadowska

Data wydania: 13 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: SQN

Akuszer bogów – Aneta Jadowska

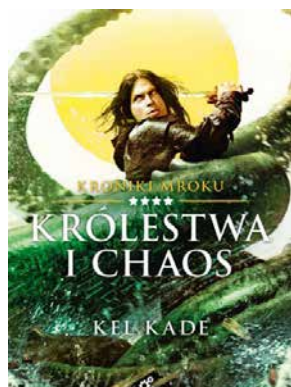
Data wydania: 13 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: SQN

Diabelski młyn – Aneta Jadowska

Data wydania: 13 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: SQN



Magiczne lata (Boy's Life) – Robert McCammon

Data wydania: 13 lipca 2022

Wydawca: Vesper

Królestwo przeklętych (Kingdom of the Wicked) – Kerri Maniscalco

Data wydania: 13 lipca 2022

Wydawca: You&YA

Jesteś historią – Maciej Łukasiewicz

Data wydania: 14 lipca 2022

Wydawca: Oficynka

Cryptonomicon (Cryptonomicon) – Neal Stephenson

Data wydania: 15 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Wojna w blasku dnia t. 1–2 (The Daylight War) – Peter V. Brett

Data wydania: 15 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Fabryka Słów

Pan Lodowego Ogrodu t. 1 – Jarosław Grzędowicz

Data wydania: 15 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: Fabryka Słów

Fantastyczne zwierzęta. Tajemnice Dumbledora'a . Scenariusz oryginalny – J. K. Rowling & Steve Kloves

Data wydania: 19 lipca 2022

Wydawca: Media Rodzina

Zwycięzca (The Champion) – Taran Matharu

Data wydania: 21 lipca 2022

Wydawca: Jaguar

Szpony mocy (Talons of Power) – Tui T. Sutherland

Data wydania: 22 lipca 2022

Wydawca: MAG

Epoka mitu (Age of Myth) – Michael J. Sullivan

Data wydania: 22 lipca 2022

Wydawca: MAG

Płonąca wieża (Burning Tower) – A. C. Cabble

Data wydania: 26 lipca 2022

Wydawca: Fabryka Słów

Sylwana (Sylvans) – Christie Golden

Data wydania: 27 lipca 2022

Wydawca: Insignis

Legenda (Legend) – Marie Lu

Data wydania: 27 lipca 2022 (wznowienie;

I wydanie pt „Rebeliant”)

Wydawca: Moondrive

Urth Nowego Słońca (The Urth of the New Sun) – Gene Wolfe

Data wydania: 29 lipca 2022 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Czarna pieśń (The Black Song) – Anthony Ryan

Data wydania: 29 lipca 2022

Wydawca: MAG

Armagedon (Armageddon) – Craig Alanson

Data wydania: 29 lipca 2022

Wydawca: Drageus

Ucieczka z Chinatown (Interior Chinatown) – Charles Yu

Data wydania: lipiec 2022

Wydawca: ArtRage

Gwiezdne okręty – Poul Anderson

Data wydania: lipiec 2022

Wydawca: Stalker Books

Cytadela – Algis Budrys

Data wydania: lipiec 2022

Wydawca: Stalker Books

Zaklinacz ognia (Flamecaster) – Cinda Williams Chima

Data wydania: lipiec 2022 (wznowienie)

Wydawca: Galeria Książki

Zaklinacz cieni (Shadowcaster) – Cinda Williams Chima

Data wydania: lipiec 2022

Wydawca: Galeria Książki

Bezmiłość – Marek Zychla

Data wydania: lipiec 2022

Wydawca: Vesper

BARDZO WSTĘPNE ZAPOWIEDZI SIERPANIA

Bitwa w Labiryncie (The Battle in the Labyrinth) – Rick Riordan

Data wydania: 1 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Galeria Książki

Zemsta Manitou (Revenge of the Manitou) – Graham Masterton

Data wydania: 2 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Blaze (Blaze) – Stephen King

Data wydania: 3 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Kamyk na niebie (Pebble in the Sky) – Isaac Asimov

Data wydania: 9 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Bazyliżek (Basilisk) – Graham Masterton

Data wydania: 9 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Replika

Heroldowie Valdemaru (The Heralds of Valdemar) – Mercedes Lackey

Data wydania: 9 sierpnia 2022 (wznowienie w jednym tomie)

Wydawca: Zysk i S-ka

Pandemonium (Pandemonium) – Lauren Oliver

Data wydania: 10 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Moondrive

Próba żelaza (The Iron Trial) – Cassandra Clare & Holly Black

Data wydania: 10 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Moondrive

Folwark zwierzęcy (Animal Farm) – George Orwell

Data wydania: 23 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Noc skorpionia (Soul Sleater) – Graham Masterton

Data wydania: 23 sierpnia 2022

Wydawca: Rebis

Pan Ciemności (Lord of Darkness) – Robert Silverberg

Data wydania: 24 sierpnia 2022

Wydawca: Vesper

Ruiny (The Ruins) – Scott Smith

Data wydania: 24 sierpnia 2022 (wznowienie)

Wydawca: Vesper

Przebudzenie zmarłego czasu. Druga Gemma – Stefan Darda

Data wydania: 24 sierpnia 2022

Wydawca: Videograf

Ogień, lód i żelazo (Iron, Fire and Ice) – Ed West

Data wydania: 24 sierpnia 2022

Wydawca: Znak

Celestia CV-02 (Celestia CV-02) – Craig Alanson

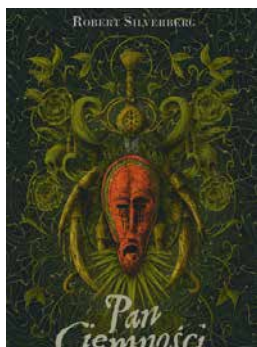
Data wydania: 26 sierpnia 2022

Wydawca: Drageus

Otchłań rozgrzeszenia (Absolution Gap) – Alastair Reynolds

Data wydania: sierpień 2022 (wznowienie)

Wydawca: MAG



ARTUR ŁUKASIEWICZ

Nie jest źle – ale mogłoby być lepiej. Miesiąc przejściowy przed wrześniowymi fajerwerkami. Czerwiec jakoś mija, a ja wciąż jestem w proszku. Trochę liźnąłem Boysów, głębiej wszedłem w Stranger Things, a inne seriale... leżą odłogiem. Czas odrabiać zaległości. Kiedy to piszę – zaczynam właśnie parę dni urlopu, więc chyba będę miał więcej czasu. Mamy też oficjalną premierę Disney+, ale w tym miesiącu – na chwilę obecną żadnych fajerwerków nie widać. Powolutku się łamię, bo zawartość archiwów 21st Century Fox na Disneyu mocno kusi, a fantastyki tam całkiem sporo. Tylko – kiedy to wszystko oglądać?

- 1 lipca

Stranger Things / sezon 4B / Netflix

Finałowe dwa odcinki czwartej serii serialu bijącego rekordy popularności – niepozbowionego jednak głupotek i niedorzeczności. Ale przyznam: ogląda się to świetnie i z wielką przyjemnością.

Yang (After Yang) / kino

Koreański film o życiu i tajemnicach pewnego androida imieniem Yang. O tym, jak wielką rolę wypełniał w życiu sprzedawcy herbaty Jacke'a i o jego sekretnym dysku z zapisami wspomnień. Film nagrodzony na festiwalu Sundance w 2022 roku. A tam, niech będzie: PREMIERA MIESIĄCA.

- 8 lipca

Boo, Bitch / sezon 1 / Netflix

Dwie mało popularne laski walczą o uznanie w szkolnej grupie rówieśniczek, ale coś nie za dobrze im to idzie. Na szczęście (lub nie) jedna z nich żegna się z życiem, ale zanim odejdzie w zaświaty – może jeszcze pomóc koleżance w uzyskaniu wymarzonej popularności. Młodzieżowa komedia z elementami fantastycznymi.

Powrót kłqtwy / film / Netflix

Tajwańsko-chiński horror w konwencji mockumenty. Sześć lat temu Li Roman została przeklęta po złamaniu religijnego tabu. Teraz musi chronić córkę przed konsekwencjami swoich działań.

Thor: Miłość i grom / kino

Kolejna – która to już z kolei? – odsłona opowieści ze świata Marvela. Choć postać Thora jest nawet znośna, a film jest zrobiony przez Taika Waititi – i tylko dlatego darzę go nieco większą uwagą niż inne. Dla tych, co to nie mają dość komiksowych superbohaterów. Bo ja mam już powolutku dość. Tym razem podobno pojawią się też Strażnicy Galaktyki, Valkyria i Korg, a za głównego złola robi niejaki Gorr Rzeźnik – zabójca Bogów. W dodatku gościnnie wystąpią też Russel Crowe jako Zeus i Natalie Portman jako ta, która niespodziewanie dzierży Mjolnira.

- 14 lipca

Resident Evil: Remedium / sezon 1 / Netflix

Seriałowa odnoga ogranej już historii świata opanowanego przez wirus oraz walki Jady Wesker o to, by policzyć się z twórcami wirusa. Ja wymiękłem już gdzieś tak po trzecim *Residence* – i chyba nie zamierzam nawet zaglądać. Ale oglądajcie i cieszcie się chwilą.

- 15 lipca

Farzar / sezon 1 / Netflix

Animowany serial dla dorosłych opowiadający o losach księcia Fichtela – który poprzysiągł, że będzie do końca swych dni walczył ze złem i uwolni ludzką kolonię na planecie Ufoludów od niesprawiedliwości. Problem w tym, że głównym złodem jest jego... ojciec. Podobno dużo brzydkich słów i nagości (w zwiastunie widać rozpikselowania; ciekawe czy również w samym serialu?).

- 21 lipca

Park Jurajski: Obóz Kredowy / sezon 5 / Netflix

Dinozaur jaki jest – każdy widzi...

- 29 lipca

Paper Girls / sezon 1 / Amazon Prime Video

Oparte na komiksie. We wczesnych godzinach porannych po Halloween w 1988 – cztery dziewczyny (Erin, Mac, Tiffany i KJ) dostają się w krzyżowy ogień między walczącymi podróżnikami w czasie, co zmieni na zawsze bieg ich życia. Przeniesione w przyszłość muszą znaleźć sposób na powrót do domu w przeszłości. Pogodziwszy się z tym, że ich przyszłość jest zupełnie inna niż sobie wyobrażały, muszą uciekać przed polującym na nich wojowniczym odłamek podróżników w czasie (znanym jako Stara Straż; która przed laty zabroniła podróżowania w czasie, by utrzymać władzę). Aby przetrwać – dziewczęta będą musiały przewyciężyć dzielące je różnice i nauczyć się ufać sobie nawzajem. Jeśli Amazon to spieprzy – to, jak żyję, wyłączę go na amen. Czytałem komiks i on wymiata! Wystarczy, że zrobią to tak jak *Invisible*, a będzie doskonale... Trochę od serca PREMIERA MIESIĄCA!



Paper Girls, Amazon Prime, USA 2022



NOMINACJE DO ZAJDLI 2021

Ogłoszono listę nominacji do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla za rok 2021. W kategorii powieść doceniono następujące pozycje: *Gnoza* Michała Cetnarowskiego, *Panie czarowne* Jakuba Cwieka, *Bóg Maszyna* Joanny Gajzler, *Wszystko pochłonie morze* Magdaleny Kubasiewicz, *Dolina niesamowitości* Anny Nieznaj oraz *Plomień* Magdaleny Salik. Opowiadaniem, które wezmą udział w finale głosowania, zostały natomiast: *Ucieczka* Michała Cholewy, *Dwie osoby wchodzą do windy* Anny Kańtoch, *Inkluzja* Marty Kisiel, *Sześć wskazówek, jak biegać w ciemnościach* Olgi Niziołek, *Susza* Katarzyny Podstawek.

grzeszcz/zajdel.art.pl

ŚLĄKFY ROZDANE

W tegorocznej edycji nagrody Śląskiego Klubu Fantastyki uhonorowano: jako Twórcę Roku – Antoniusza Dietzusa; Wydawcę/Promotora – Katarzynę Sienkiewicz-Kosik oraz Rafała Kosika z wydawnictwa Powergraph, a jako Fana Roku – Aleksandrę Tomicką-Kaiper.

grzeszcz



NAGRODY LOCUS 2022 PRYZNANE

25 czerwca ogłoszono listę tytułów wyróżnionych nagrodą magazynu „Locus”. Wśród nagrodzonych znalazły się m.in.: powieść SF: *A Desolation Called Peace* Arkadego Martine’a (w planach wyd. Zysk); powieść fantasy: *Jade Legacy* Fondy Lee (w planach wyd. MAG); powieść grozy: *My Heart Is a Chainsaw* Stephena Grahama Jonesa (w planach wyd. MAG); powieść młodzieżowa: *Victories Greater Than Death* Charlie Jane Anders; debiutancka powieść: *Władca dżinów* P. Djèliégo Clarka (MAG, 2022); nowela: *Fugitive Telemetry* Marthy Wells; długie opowiadanie: *That Story Isn't the Story* Johna Wiswella; krótkie opowiadanie: *Where Oaken Hearts Do Gather* Sarah Pinsker; antologia: *We're Here: The Best Queer Speculative Fiction 2020*, C.L. Clark i Charlesa Payseura (red.); zbiór opowiadań: *Even Greater Mistakes* Charlie Jane Anders; magazyn: *Tor.com*; wydawca: Tor; redaktor: Ellen Datlow; artysta: Charles Vess; książka non fiction: *Dangerous Visions and New Worlds: Radical Science Fiction, 1950–1985* Andrew Nette’a i Iaina McIntyre’a (red.). Pełna lista nagród oraz nominacji dostępna jest pod adresem: <https://locusmag.com/2022/06/2022-locus-awards-winners/>.



grzeszcz/katedra.nast.pl

FANTASTYKA I NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Gdyńskie Kostki – nagroda literacka wyceniona na 50 000 zł – zostały powołane do życia w roku 2006 i fantastyka nigdy nie miała z nimi lekko. Odnotowujemy jednak z satysfakcją, że w tegorocznej edycji o laur w kategorii eseju powalczy książka Agnieszki Gajewskiej *Stanisław Lem. Wypędzony z wysokiego zamku*. Autorce życzymy powodzenia, choć przeczuć dobrych nie mamy.

grzeszcz



SIEPACZE PUTLERA NA TROPIE TWÓRCY METRA

Inwazja ruskiego miru na niepodległą Ukrainę spotyka się ze sporadycznym, ale jednak wartym odnotowania, sprzeciwem niektórych Rosjan. Swoją dezaprobatę wyraziło np. kilku żuźłowców od dawna mieszkających w Polsce i mających polskie paszporty, którzy jednak zdobywali medale dla Federacji Rosyjskiej (m.in. był wśród nich aktualny indywidualny mistrz świata na żuźlu). Międzynarodowa Federacja Motocyklowa zakazała występów na torach wszystkim Rosjanom (którzy ścigać się mogą jedynie u siebie w kadłubowych rozgrywkach ligowych pod znakiem litery „Z”); ale ponieważ Artiom Łaguta i kilku jego kolegów potępiło agresję, zamknęli przed sobą także drogę do startów w ojczystym kraju. Ich los jest jednak i tak o niebo lepszy niż Dmitryja Głuchowskiego, za którym władze rosyjskie rozesłały list gończy. Co prawda nie wiadomo, w jakim charakterze poszukiwany jest twórca *Metra 2033* – ale każdy rozsądny człowiek, wobec takiego ogłoszenia moskiewskich władz, powinien zaszyć się znacznie głębiej pod ziemię niż najniższe położone linie metra na świecie. Okazuje się, że tym razem siła oddziaływania literatury została uznana przez Moskali za znacznie większą niż niszowej, ale równie fantastycznej, dyscypliny sportu.

grzeszcz

A BYŁBY KINOWY TEMAT KOLEJNEGO FORCECONU...

Disney+ umacnia się – zagrażając nawet pozycji Netflixu. Jednym z nowych hitów jest sześciodinkowy serial *Obi-Wan Kenobi* z Ewanem McGregorem – opowiadający o wydarzeniach usytuowanych fabularnie pomiędzy *Zemstą Sithów* a *Nową nadzieją*.

jpp

NOWA ADAPTACJA AKADEMII PANA KLEKSA

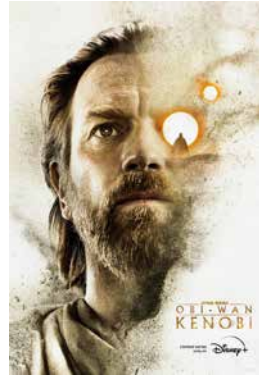
Powieściowa trylogia Jana Brzechwy o Ambrożym Kleksie to przeurocza fantastyka w czystej postaci. Uroczą też była adaptacja *Akademii Pana Kleksa* dokonana przez Krzysztofa Gradowskiego z Piotrem Fronczewskim w roli głównej. Urokiem i pomysłowością nadrabiała też PRL-owskie ubóstwo techniczne. Przy dzisiejszych możliwościach realizacyjnych – aż prosi się o jakąś nową wersję; z drugiej zaś strony, znając słabość polskiego kina gatunkowego, można mieć poważne obawy... I tu dwie wiadomości: dobra i zła. Dobra jest taka, że w filmie przygotowywanym przez Macieja Kawulskiego



profesora Kleksa zagra Tomasz Kot. Obok wszechstronnego talentu tego aktora – już widzę te jego długie nogi w kraciastych spodniach z ilustracji Szancera! Zła wiadomość to, że Adasia Niezgodkę zastąpi uczennica. Nie jestem mizoginistą – jednak już strach się bać, jakie jeszcze politpoprawne „poprawki” pojawić się mogą w scenariuszu...

jpp

(Trzy grosze od Ogana: A może dla przyzwoitości zmieniono by chociaż tytuł temu filmowi na *Gimnazjum Osoby Kleksa?*)



WOJE MIRMILA ZDOBYLI POCZTĘ

W tym roku minęło pięćdziesiąt lat od narodzin słynnego komiksu o Kajku i Kokoszu. Tę okrogłą rocznicę uczciła Poczta Polska, wydając okazjonalny znaczek – a dokładniej bloczek. I to od razu w dwóch wersjach: perforowanej i nieperforowanej. Zostały one wprowadzone do obiegu 31 maja 2022 r. Pierwszy wariant wydano w nakładzie 90 000 sztuk, a drugą – 6000 sztuk. Nominalna wartość walorów to 8 PLN; dokładnie tyle, ile trzeba do wysłania najmniejszej przesyłki zagranicznej. Na znaczku przedstawiono bohaterów komiksu Janusza Christy – Kajka, Kokosza i Milusia. Poza polem znaczka znalazło się miejsce dla Lubawy z Mirmilem, ciotki Jagi z Łamignatem, a nawet Gdasia. Walor pocztowy zaprojektowali Joanna Fleszar-Haspert oraz Radosław Gieremek. Bloczek wydrukowano w technice offsetowej na papierze fluorescencyjnym o rozmiarach

90×70 mm, a sam znaczek ma wymiary 31,25×43 mm. Gratką dla filatelistów i miłośników komiksu jest też koperta z okolicznościowym stemplem pierwszego dnia obiegu (FDC), o f r a n k o w a n a wspomnianym wyżej walorem, a ukazująca jedną z komiksowych scen z udziałem zbójczy z Hegemonem na czele. Wartość tego rarytasu została ustanowiona na 9 PLN.

BFCB



W „ROCZNIKU” O „INFORMATORZE”

Ukazał się ósmy numer „Wejherowskiego Rocznika Kulturalnego” (2021). W tym wspólnym przedsięwzięciu Wejherowskiego Centrum Kultury, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Miejskiej Biblioteki Publicznej oraz Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia odnotowano m.in. plastyczny konkurs Lemowski (z zaznaczeniem, że część nagrodzonych prac trafiła na okładki „Informatora Gdańskiego Klubu Fantastyki”!). Stałym elementem są też ilustracje Tomasza Meringa – współpracującego także z GKF-em rysownika i komiksarza.

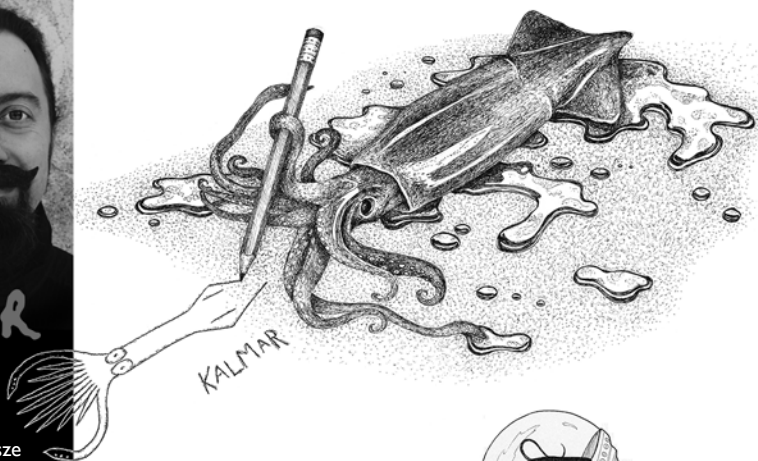
jpp



Piotr Dziewanowski

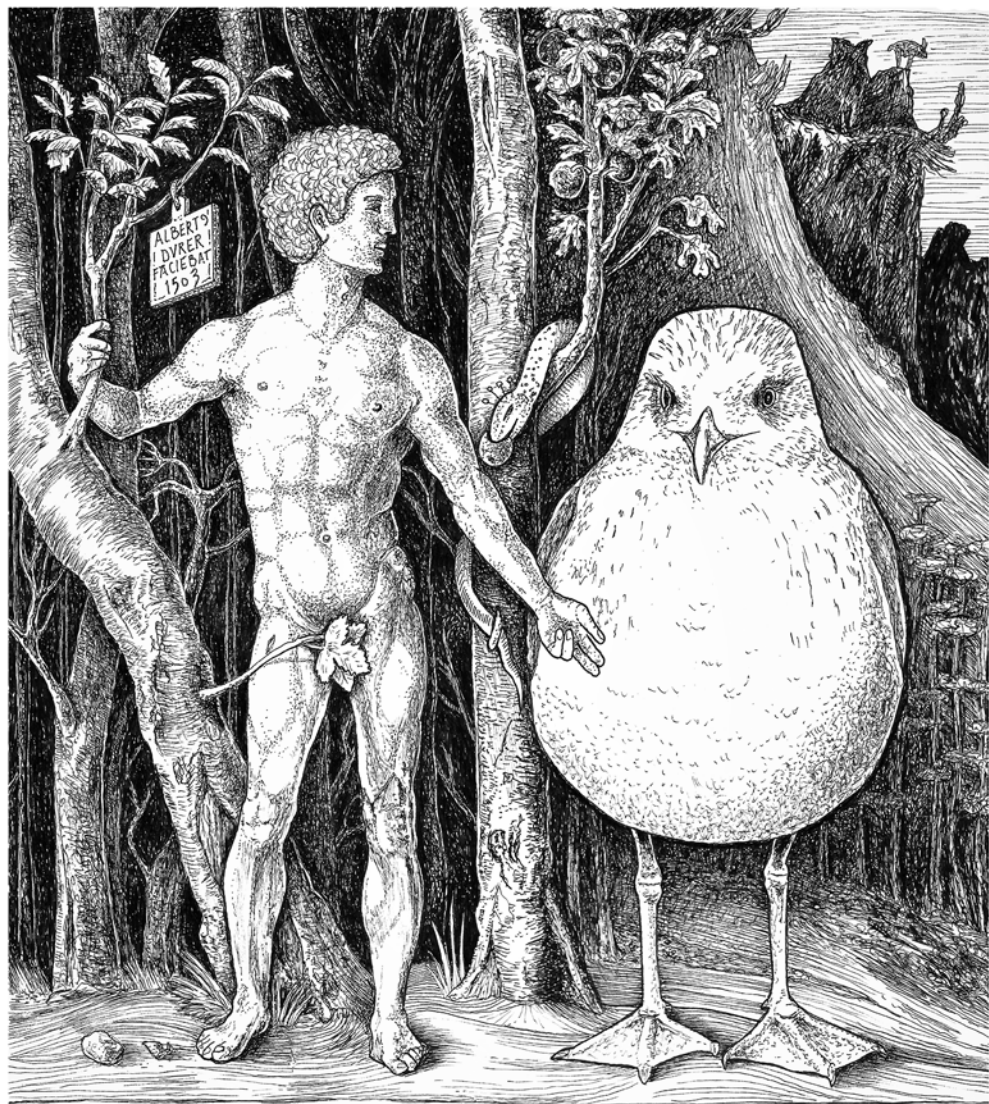
Odkąd tylko pamiętam, zawsze towarzyszył mi rysunek. Jest we mnie jakaś ciągła potrzeba przenoszenia na papier (a także inne materiały) swoich wewnętrznych stanów i ilustrowania rzeczy, które napotykam. Łączy się ona z zamiłowaniem do twórczego operowania ojczystym językiem, którym zaraziłem się w domu rodzinnym, pełnym wykręcających słowa rozmów i montypythonowskiego żartu. Znalazło to odzwierciedlenie w facebookowym projekcie Kalmarzycja, gdzie często umieszczam (nie zawsze) prześmiewcze hasła, połączone z rysunkami. Jak to określiła Aleksandra Wrona w trakcie wywiadu przeprowadzonego ze mną dla portalu Trojmiasto.pl:

W swoich pracach nie boi się absurdu, odważnie poczyna sobie z polszczyzną i przeprowadza rysunkowe eksperymenty na zwierzętach.



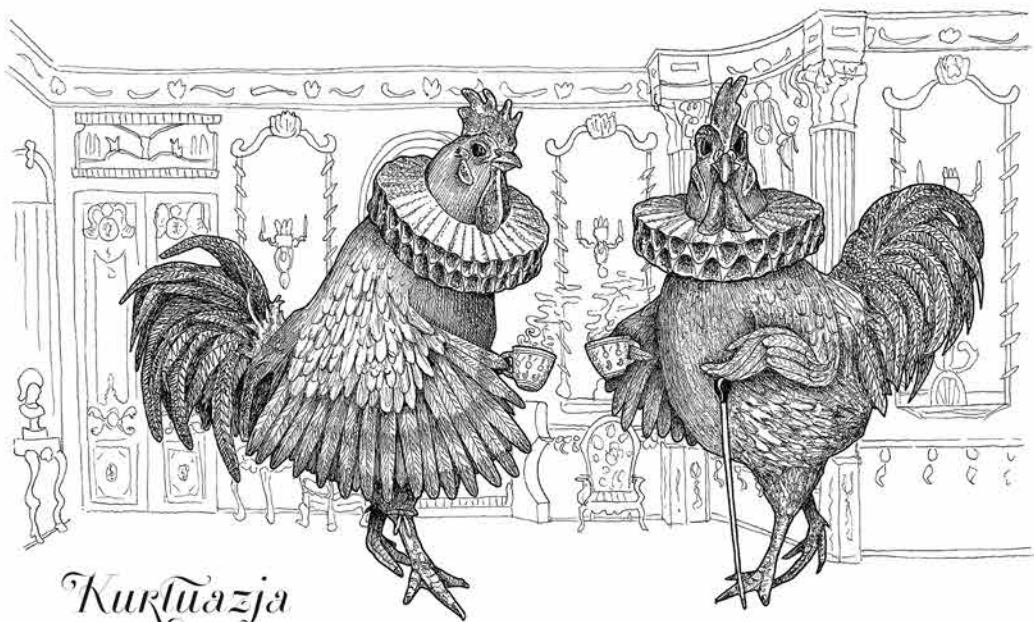
W MORDE
JEŻA!



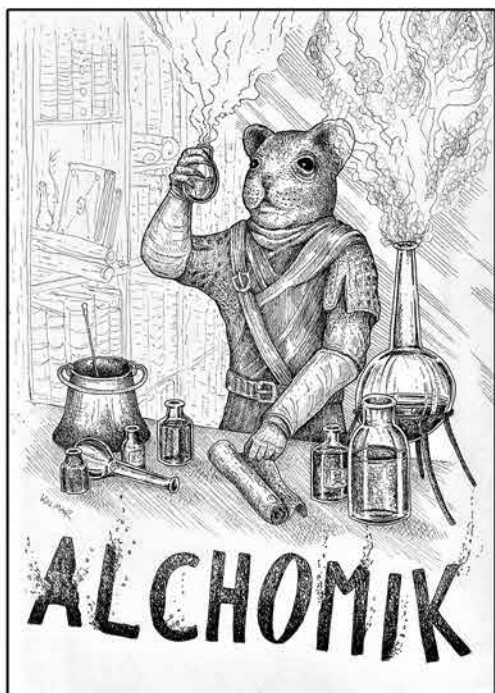


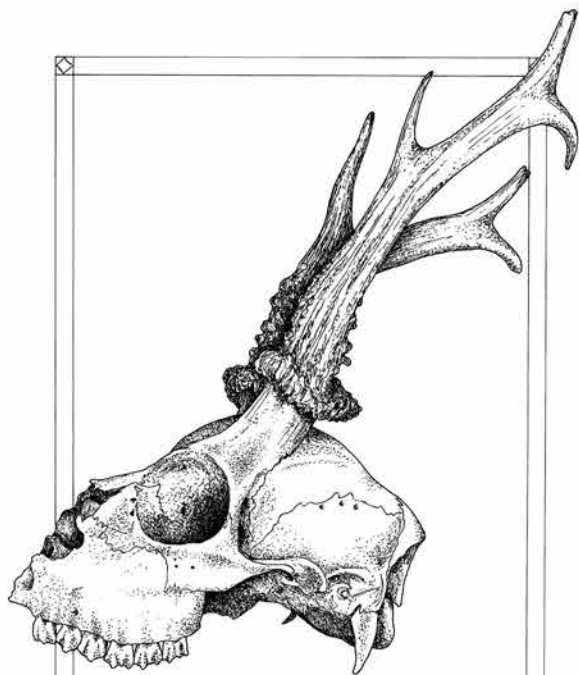
ADAM I MEWA

KALMAR



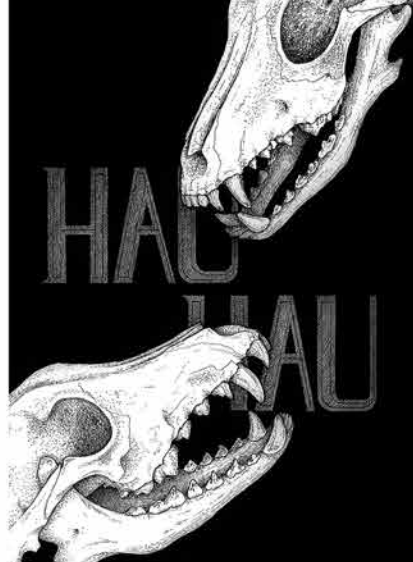
Kurtuazja





TABLICA 3.

ZDECHLONEK



HAC
HAU



Cherubinek



KALMAR

KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

Leśny azyl

Każdy potrzebuje takiego miejsca, w którym – od czasu do czasu – może skryć się przed światem. Gdzie można побыć trochę sam na sam ze sobą i ze swoimi myślami. Uporządkować wewnętrzny chaos, by potem móc wrócić do otaczającego go skomplikowanego świata i jakoś dalej w nim funkcjonować. Wbrew wszystkiemu i wbrew wszystkim.

I ja przez ostatni tydzień czułam, że potrzebuję wyciszenia. Nawet od Adama musiałam się oderwać, od najbliższej mi osoby. Niby o wszystkim możemy sobie powiedzieć – ale co, jeśli wszystko zostało już powiedziane, a nic się nie zmienia?

To, o czym mówię, to stan nieustającego zawieszenia: życie z dnia na dzień, bez nadziei na lepsze jutro, bez perspektyw. Udręka wyczerpującej codzienności, w której coraz bardziej czujesz się niewolnikiem otaczającej cię rzeczywistości.

Ten stan jest jak niewidzialny wampir wysysający z człowieka wszelkie siły życiowe i radość życia. I wtedy tym bardziej trzeba wrócić na łono przyrody i wskrzesić w sobie choć trochę sił.

Mam trzydzieści lat i w tym wieku powinnam już wieść uporządkowane życie. A przynajmniej jako tako ułożone. A egzystuję w codziennym chaosie – nigdy nie wiem, o której zacznę pracę i kiedy skończę... bo moja praca składa się z nadgodzin dwojakiego rodzaju:

z „po-godzin” – kiedy to siedzę w biurze, a nie w domu;

i z „przed-godzin” – to wtedy, gdy szefowa każe mi następnego dnia przyjść wcześniej do pracy.

Wracam wtedy do domu w stanie totalnego zzombienia. Nie mam na nic siły, tylko od razu ścina mnie z nóg. Pospiesznie zjadam mizerną kolację, myję się i padam spać, by następnego dnia znowu robić z siebie niewolnika.

Czas gna coraz szybciej. Z każdym dniem ciało się starzeje. Opadam z sił i podupadam na zdrowiu, a na dodatek nie pamiętam już, co oznacza słowo odpoczynek...

Zastanawiam się, czy nie jestem okradana z najlepszych lat, z najcenniejszych chwil. Jeśli to tak potrwą do emerytury, to przed śmiercią uświadomię sobie, że zmarnowałam młodość, że nie potrafiłam żyć – i będę rozpaczliwie pragnęła cofnąć czas. Ale będzie za późno. Kostucha otworzy wieko spróchniałej trumny i zaprosi do wypełnionej czernią czeluści zwanej nieistnieniem.

Adam też mi tłumaczy, że marnuję życie i kiedyś będę tego żałowała. Namawia na zmianę pracy. Ale we mnie jest lęk – obawa, że w kolejnym miejscu będzie jeszcze gorzej. O ile je znajdę, bo na razie to raz i drugi zebrałam się w sobie, by zerknąć na ogłoszenia, ale wszędzie szukają tylko ludzi na kasę, za ładę i tak dalej. Adam twierdzi, że lepiej tak, niż nie mieć życia. Lepiej mieć mniej kasy, a za to czas na odpoczynek.

Nie, u nas nie jest tak najgorzej. Mamy trochę kasy. Z głodu nie umieramy i nawet na kino czy inną rozrywkę starcza (oczywiście tak od czasu do czasu). Ale ja czuję niepokój. Czasami wołę

się męczyć i kiedyś awansować, by mieć na tyle wysoką pensję, że nie będę musiała obawiać się o przyszłość. Poczucie bezpieczeństwa kosztem życia. I to nie tylko mojego...

Ostatnio Adam powiedział mi, że choć jesteśmy razem, to czuje się samotny. I wcale mu się nie dziwię!

Mam wrażenie, że jego cierpliwość jest gumką recepturką, którą coraz bardziej rozciągam. Gdyby mogła trzeszczeć, już by trzeszczała, tak mocno jest naciągnięta. Coraz częściej się sprzeczymy i widzę, że zbliża się do granic wytrzymałości. Kiedyś pęknie...

Tylko kiedy? I czy zdążę temu przeciwdziałać, zebrać się w sobie i uratować to wszystko – ten nasz mały świat?

Tego też się boję: że nie zdążę.

A wtedy co? Znowu zostanę sama?

Znowu będą tzy...

Ale ja tego nie chcę – ja tylko pragnę normalnie żyć. Z nim żyć, bo go kocham. I tęsknię za wolnością, za czasem, który przeznaczę tylko na normalne życie i na smakowanie otaczającego mnie świata, delektowanie się nim.

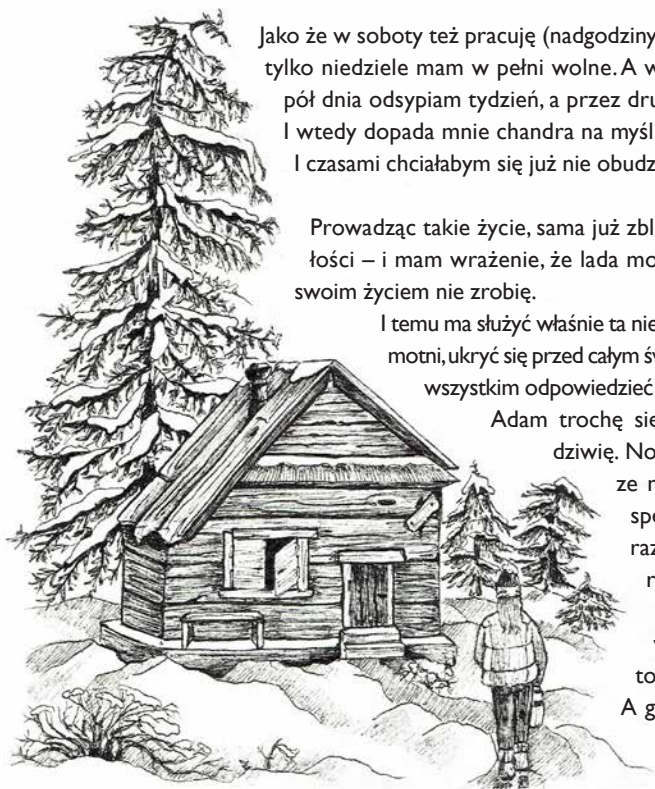
Dlatego podjęłam decyzję: muszę działać. Teraz! Dziś!

Jako że w soboty też pracuję (nadgodziny innego rodzaju), to w zasadzie tylko niedziele mam w pełni wolne. A wtedy często jest tak, że przez pół dnia odspiam tydzień, a przez drugie pół na nic już nie mam siły. I wtedy dopada mnie chandra na myśl o zbliżającym się poniedziałku. I czasami chciałabym się już nie obudzić...

Prowadząc takie życie, sama już zbliżyłam się do granic wytrzymałości – i mam wrażenie, że lada moment zwariuję, jeśli czegoś ze swoim życiem nie zrobię.

I temu ma służyć właśnie ta niedziela – muszę się wyrwać do samotni, ukryć się przed całym światem i uporządkować. A przede wszystkim odpowiedzieć sobie na pytanie: Co dalej?

Adam trochę się wkurzył; i wcale mu się nie dziwię. Normalnie tego dnia niewiele ma ze mnie pożytku, ale przynajmniej spędzamy ten czas razem. A teraz... teraz nawet to mu odbieram. Lecz wybrałam mniejsze zło – jeśli bowiem znajdę odpowiedzi na dręczące mnie pytania, to potem będzie już tylko lepiej. A gdybym sobie odpuściła, to któreś z nas by w końcu pękło i...
I nie byłoby już NAS.



Spakowałam tylko to, co będzie potrzebne do spędzenia zimowego dnia na odludziu. W moim azylu: leśnej chacie odziedziczonej po wujku.

Pocałowałam namiętnie urażonego Adama i wyszłam.

Śnieg chrząścił pod butami prawie jak tłuczone szkło, a złośliwiec mróz boleśnie szczypał policzki. Nawet promienie słońca jakby chciały mnie zatrzymać. Odbijając się od wszechobecnej bieli – przeraźliwie osłepiały.

Na przekór wszystkiemu wrzuciłam bagaż na tylne siedzenie i przez chwilę myszkowałam w schowku za skrobaczką. Doprowadzanie pokrytych lodem szyb sprawiło, że miałam wrażenie, iż ręka mi zaraz odpadnie. Musiałam chwilę odsapnąć. I to był błąd.

Z betonowych trzewi bloku wynurzył się Adam; odziany w puchówkę i grubą czapkę wyglądał trochę jak czarny bałwan.

W pierwszej chwili myślałam, że może idzie na zakupy. Lecz gdy skręcił w moją stronę, szeroko się przy tym uśmiechając, zrozumiałam, że mam problem.

— Jadę z tobą — rzucił beztrosko, zupełnie jakbyśmy nie wałkowali już kilka razy tego tematu.

— Mówiłam ci już, że potrzebuję trochę samotności.

— Spoko, ty będziesz w jednym pokoju, a ja w drugim. A kiedy już ci się znudzi, to resztę niedzieli spędzimy razem.

— Adam... ty nie rozumiesz.

Nachmurzył się, a jego twarz poczerwieniała – zły znak.

— Masz rację, nie rozumiem. Co jest grane?

— Potrzebuję na spokojnie przemyśleć swoje życie. Potrzebuję tego.

— Czyli nas sobie chcesz przemyśleć, tak?

Ech, wiedziałam, że źle to zinterpretuje. Mężczyźni...

— Nie, Adaś...

— Moja była też tak mówiła. I...

No teraz to i ja się wpieniłam. Rok jesteśmy ze sobą, a ta cholerna larwa, przy każdej sprzeczce, wyłazi jak trup z grobu. No, normalnie ochujeję!

— Nie jestem twoją byłą! Wkurza mnie twoja byłą! Jak ci tak leży na sercu – to do niej wracaj! Oczywiście powiedziałam dokładnie to, czego nie chciałam powiedzieć. Ale to już taka moja wada, że nie potrafię czasami utrzymać języka za zębami.

Ale on zaczął! Też mógł ugryźć się w ten cholerny jęzor.

— Ona przynajmniej miała dla mnie czas! A ty to już nawet ostatnie wolne chwile nam zabierasz! — wyrzucił z siebie zarzut, który wracał jak bumerang co parę dni. Ale właśnie po to jechałam, żeby coś wymyślić i coś z tym zrobić. Żeby już nie międlić tego tematu. By w naszym życiu zapanowały wreszcie upragnione spokój i harmonia.

— Adaś — złagodziłam ton, choć korciło mnie, by go opieprzyć za to, że nie chce zejść z byleję; ale ktoś tu musi być mądrzejszy.

Niestety, spóźniłam się z łagodzeniem konfliktu:

— Chrzął się! — rzucił gniewnie i odwrócił się plecami.

Chciałam jeszcze coś powiedzieć, lecz on zaczął się już oddalać. Ale nie w kierunku domu, lecz w przeciwnym. Wiedziałałam gdzie idzie: spotkać się z kumpli, wypić browara i trochę na mnie ponarzekać.

Trudno, przeżyję to jakoś. Jeszcze tylko ten jeden jedyny raz. Następnego nie będzie – bo znajdę rozwiązanie. Zagłębię się w siebie i posłucham głosu intuicji, a wtedy wreszcie zmienię swoje życie. Zrobię to, choćby wymagało radykalnych kroków. Muszę ratować siebie. Nas! Teraz albo nigdy! Niech tylko podszept, który podpowiada najlepsze rozwiązania, znowu dojdzie do głosu. Muszę wgłębić się w siebie i wydobyć go, usłyszeć.

Zacisnęłam zęby i wsiałam do samochodu.

Następne pół godziny spędziłam w korkach. Chcąc zabić czas, trenowałam świadome oddychanie, próbując przy okazji naładować się pozytywną energią.

Robiłam wszystko, byle tylko się nie wkurzać. Ale jednak nerwy w końcu puściły – i nie było się czemu dziwić. Gdy człowiek dzień w dzień od rana do nocy żyje w nieustającym napięciu, to potem wybucha przy byle okazji.

— No jedź, kurwa, gnoju! Kto cię jeździć uczył, sieroto! — wydarłam się do flegmatyka przede mną, który najwyraźniej nigdzie się nie spieszył. Choć miał przed sobą dużo miejsca, to włókł się jak skazaniec na szafot. Na szczęście były to ostatnie chwile mordegi, bo wkrótce wyjechałam z miasta i wreszcie na drodze się odkorkowało.

Godzinę później byłam na miejscu – a właściwie prawie na miejscu. Skręcałam w leśną drogę.

Martwota zimowego krajobrazu bywa hipnotyzująca: biel przecinana pionowymi krechami czerni i zygzakami gałęzi naprawdę może człowieka na chwilę wyłączyć. Na szczęście wyboje nie pozwalały mi zanadto odpłynąć, więc po kolejnych dziesięciu minutach zajechałam na miejsce.

Odziedziczony po wujku drewniany domek był idealnym miejscem do niedzielnego leniuchowania. Co prawda czekało mnie dźwiganie drewna i rozpalenie w kominku, ale wiedziałam, że w godzinę się z tym uwinę.

I się uwinęłam. A zajęło mi to mniej czasu, niż przewidywałam – również ja mogłam być bohaterką w swoim leśnym azylu.

Ta moja kryjówka przed światem nie była niczym luksusowym... Ogrzewanie drewnem w kominku. Kibełek w sławojce, do której dobre dwie trzeba minuty maszerować przez las. Woda? Proszę bardzo, ale idziemy w drugą stronę. Zapraszamy na wycieczkę z wiadrem do pobliskiego strumyka (a najlepiej przywieźć swój zapas butelkowanej, bo zimą to z tym strumykiem raczej ciężko). Prądu oczywiście brak, więc zapas świec też wskazany. Prosty drewniany stół. Takie samo łóżko. Dwa krzesła. I w zasadzie tyle, jeśli nie liczyć szafki z przyborami kuchennymi oraz półki wypełnionej od góry do dołu starymi książkami.

W rogu pomieszczenia znajdował się murowany kominek, w którym już wesoło tańczyły płomienie – za godzinę, półtorej zrobi się tu całkiem znośnie. A na razie pozostawało mi tylko siedzenie w puchówce na łóżku. I właśnie to miałam zamiar zrobić: usiąść i oddać się rozmyśleniom.

Niestety, nie dane mi było zaznać spokoju – nagle wszystko zaczęło dygotać.

Talerze brzęczały, sztucce też. A z półki co i rusz spadała jakaś książka.

Jak pech, to pech – w pobliżu lasu znajdowała się wielka kopalnia. Skutkiem tego, od czasu do czasu, okolice nawiedzały drobne trzęsienia ziemi. Podygotało, potelepało i przechodziło.

Tym razem było inaczej. Wszystko zaczęło podskakiwać jak szalone. Łóżko, stół, krzesła. Półka z książkami przewróciła się i z raniącym uszy zgrzytem raz po raz je zgniatała. A ja, choć byłam przerażona, zdołałam pomyśleć o tym, że na szczęście nie ma mnie pod nią.

Szkoło tłukło się na potęgę. Widelce, łyżki i noże co i rusz wzbijały się w powietrze stanowiąc całkiem realne zagrożenie. Na dodatek, ku memu przerażeniu, z kominka wyleciały płonące polana. A ja byłam w stanie tylko trzymać się kurczowo brzegu łóżka, które podskakiwało coraz wyżej. W pewnym momencie posypały się szyby. Powiew lodowatego powietrza zgasił większość polan. Usłyszałam regularne metalowe zgrzyty samochodu; mam nadzieję, że będzie na chodzie, gdy to wszystko się skończy.

Trzęsienie ziemi ustało tak nagle, jak zaczęło.

Pobojowisko było koszmarne. I już się nawet domyślałam, jak spędzimy z Adamem następną niedzielę. Będzie zachwycony...

Rzuciłam się, by zdusić ogień, który zaczął trawić rozrzucone na podłodze książki. Skakałam po nich przez chwilę, aż zupełnie go zdeptałam. Serce mi się krajało, na myśl o tym, jak bardzo je przy okazji zniszczyłam – ale nie było innego wyjścia.

Rozejrzałam się dookoła i oczy zaszyły mi łzami rozmazując rzeczywistość.

Nie dość, że moje życie to ruina, to jeszcze jedyny azyl, jaki miałam, też stał się ruiną.

I w tym momencie zrozumiałam, że jestem skazana na dotychczasowe życie, że już nic się w nim nie zmieni i zawsze, gdy będę się w sobie zbierać, by coś zmienić, zdarzy się coś, co mi przeszkodzi. Coś co mnie załamie i sprawi, że zrezygnuję. Dotarło do mnie to, że karmiłam się złudnymi nadziejami, że to wszystko nie ma sensu. Jedyne, co mi pozostało, to zaciskać zęby i trwać od pierwszego do pierwszego pokornie gnąc kark, bo niestety mam naturę niewolnika.

Na drżących nogach, ocierając łzy i rozsmarowując gluty, wyszłam ze zdewastowanego domu. Nim doszłam do samochodu, nagle wszystko skryło się w mroku. Spojrzałam w górę i przez moment miałam wrażenie, że dostrzegam skryte za chmurami gigantyczne oko.

Nie minęła nawet sekunda, jak nagle pojaśniało i niebo znowu stało się normalne.

No tak, wygląda na to, że już mi umysł szwankuje...

Ach, w domu bez klamek, to dopiero będzie! Będę mogła wsłuchiwać się w wewnętrzny głos ile tylko dusza zapagnie!

I jest to – jakby na to nie patrzeć – jakieś wyjście z obecnej sytuacji.

Tak! Chyba sobie wpiszę w papierach jako aktualny zawód: ŚWIR! Czas na długie wakacje!

Dziecko patrzyło na zabawkę, którą jeszcze przed chwilą potrząsało.

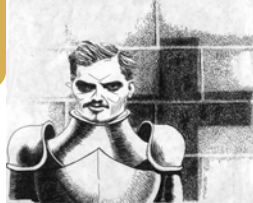
W szklanej kuli szaleńczo wirowały płatki śniegu. Niemal zupełnie zastoniły miniaturowy las, w którym między drzewami skryła się drewniana chatka.

Do tej pory maluch podnosił zabawkę i po chwili odstawiał ją z powrotem. Ale z czasem zaobserwował, że im gwałtowniej to robi, tym więcej śniegu się wzbija. I tak mu się to spodobało, że tym razem postanowił nią mocno potrząsnąć, by zobaczyć co się stanie.

Teraz, gdy już opadły ostatnie płatki, chłopiec pochylił się i przybliżył oko do szklanej powierzchni. Nie zauważył niczego ciekawego, więc przeciągle ziewnął i udał się do sypialni, by wywijać pluszowym lwem jak maczugą. Czasem urywał mu się od tego ogon. Ale to nie problem: mama przyszyje ■



ilustracje: Aleksandra Małaj



KORESPONDENCJA 132

OSIEROCONA AFRODYTA

Przelom kwietnia i maja zapisał się prawdziwie czarnymi głoskami w historii światowej muzyki elektronicznej. W odstępie trzech tygodni swoje kosmiczne adresy zmieniło dwóch gigantów tego gatunku. Miesiąc temu zęgnął Klaus Schulze (moim zdaniem największego z największych elektromagików), a teraz wewnętrzny imperatyw zmusza mnie do skreślenia kilku zdań na temat zmarłego 17 maja Ewangelosa Odiseasa Papatasiu – znanego szerszej publiczności jako Vangelis. Jego pseudonim u każdego fana fantastyki musi natychmiast wzbudzać dreszcze emocji, bo to przecież twórca muzyki do kultowego filmu sf *Blade Runner*. Ale nie tylko dźwiękowa ilustracja do obrazu Ridleya Scotta (z którym współpracował także przy *1492. Wyprawa do Raju*) łączy twórczość Greka z fantastyką; to także liczne albumy solowe, dla których inspiracją były te same dziedziny, którymi pasjonują się również fantaści, a szczególnie fizyka i astronomia (el-muzycy w ogóle lubią fizykę – nie ma chyba drugiego takiego gatunku muzyki, który tak bardzo zanurzony byłby w tej gałęzi nauki i bez której nie mógłby istnieć).

Droga Vangelisa na szczyty popularności nie była nadto wyboista. Właściwie czegokolwiek się tknął, przemieniał to w złoto. Jest to o tyle zastanawiające, że jego wykształcenie muzyczne było odwrotnie proporcjonalne do odnoszonych sukcesów – nigdy nie nauczył się notacji muzycznej, a jego utwory na partytury dla orkiestry rozpisywali zawodowi aranżyci. Jednak już pierwsza powołana przez niego grupa Forminx spotkała się w rodzinnej Grecji z bardzo dobrym przyjęciem.

Młodzieżowa rewolta 1968 roku wypchnęła go do Paryża, gdzie u boku Demisa Roussosa i Loukasa Siderasa założył progrockową kapelę Aphrodite's Child. Niemal z marszu podbili oni serca nie tylko greckich fanów rocka (śpiewali po angielsku, co na pewno ułatwiło im podbój europejskiego rynku muzycznego). W czasie realizacji koncepcyjnego albumu *666* (inspirowanego Apokalipsą św. Jana) grupa zakończyła swoją działalność, a Vangelis kontynuował karierę jako artysta solowy. Podjął co prawda próbę związania się z inną progrockową kapelą wszech czasów – Yes (miał zastąpić Ricka Wakemana), ale ostatecznie nie został zaakceptowany przez pozostałych muzyków; jednak znajomość z wokalistą Jonem Andersonem zaowocowała kilkoma albumami, na których obok wspaniałych kompozycji Greka mogliśmy też słyszeć magnetyzującą wokalfanglika.

Jedną z pierwszych prac, których podjął się po rozwiązaniu Aphrodite's, było napisanie muzyki do erotycznego obrazu *Sex Power* Henry'ego Chapiera (zastanawiająca ta słabość reżyserów podkasanych obrazów do el-muzyków: wspominałem już o udziale Klaus Schulze przy projekcie *Body love*; w latach 80. XX wieku Mark Shreeve, późniejszy lider znakomitej el-grupy Redshift, napisał piosenkę *Touch Me* dla Samantha Fox – ówczesnej gwiazdki topless angielskich bulwarówek). Filmu nie widziałem, ale muzyczne motywy z jego ścieżki, które miałem okazję odsłuchać, są naprawdę urzekające. Musieli się poznać na jego robocie inni reżyserzy, gdyż Vangelis stał się jednym z najważniejszych i najbardziej

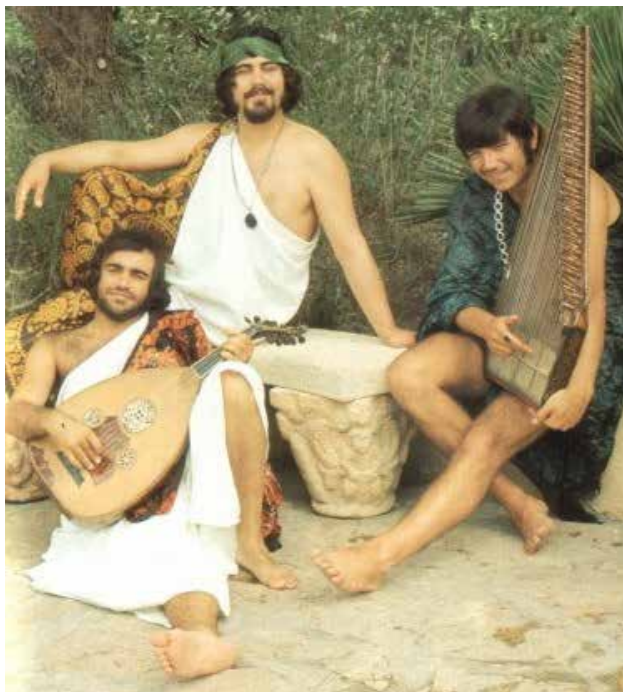
pożądanych twórców muzyki filmowej. Zwłaszcza po tym, jak otrzymał Oscara za muzyczną oprawę do filmu Hugh Hudsona *Rydwany ognia*. Przyznając, że byłem niezwykle rozczarowany, kiedy po paru latach odsłuchiwania tytułowego kawałka (kojarzącego mi się jeśli nie z utworem fantasy, to przynajmniej z obrazem opowiadającym o starożytnym Rzymie) obejrzałem wreszcie ten obraz i nie znalazłem w nim nie tylko rydwanów, ale nawet i ognia. W tym samym roku Vangelis dał światu jeszcze jedną, tym razem prawdziwie fantastyczną, perłkę: muzykę do wspomnianego już *Łowcy Androidów*. I choć ścieżka dźwiękowa zawiera wyłącznie niepowtarzalne kompozycje, to ja zawsze z utęsknieniem czekam, aż gruchną kotły zwiastujące początek *Napisów końcowych* – to dla mnie kwintesencja nie tylko dźwiękowego ilustrowania ruchomych obrazów, ale el-muzyki z prawdziwie rockowym wykopem.

Kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z twórczością Greka – nie pamiętam. Na pewno stało się to, zanim się dowiedziałem o jego istnieniu. W latach 80. czołówkę telewizyjnego Studia Sport ubarwił fragment *Spiral* z albumu Vangelisa pod tym samym tytułem. *Rydwany ognia* katowało radio non stop. Nie słuchałem LP3 od pierwszego notowania, nie zetknąłem się więc z *My way home* wyśpiewaną przez Andersona, ale gdy zacząłem słuchać audycji Jerzego Kordowicza, pseudonim Ewangelosa pojawił się na tyle często, żeby kojarzyć go z gatunkiem, w którym coraz głębiej się zanurzałem. Sporym przeżyciem było dla mnie obejrzenie koncertu Greka z Rotterdamu z 1991 roku, który zafundowała nam ongiś TVP (pojawiał się wówczas na ekranach telewizorów także jakiś koncert Jeana-Michela Jarre'a oraz filmowa

impresja z warszawskiego koncertu Tangerine Dream z 1983 – ta z baletnicą i pokazem slajdów prezentujących nocne życie zachodnich miast).

Nie będę udawał, że jestem jakimś zawołanym fanem jego twórczości, a już do znawstwa teje na pewno się nie poczuwam (co widać chyba po lapidarności tej notki). Lubię ją jednak, bo jest harmonijna i melodyjna, nie zawsze łałwa, lekka i przyjemna (niektóre utwory, a czasami całe albumy, wymagają jednak od słuchacza sporej dawki skupienia i cierpliwości), ale na pewno znacznie rzadziej meandruje na manowce niż produkcje Klausu Schulze. Przedwczesne odejście Vangelisa, w wyniku pocovidowych powikłań, to niepowetowana strata nie tylko dla fanów fantastyki czy el-muzyki, ale dla całej światowej kultury, którą swoją twórczością wznosił on na olimpijskie szczyty ■

Wasz wielkokacki korespondent



KAROL GINTER
JA, DYKTATOR

Isaac Asimov
Ja, robot

Robot do opieki nad dzieckiem nie powinien budzić obaw. A jednak matka kilku-letniej Glorii nie jest zadowolona, że robot o imieniu Robbie zajmuje się jej dzieckiem. Maszyna nawet nie potrafi mówić, ale między nim a dzieckiem powstała bardzo silna więź. Matkę to irytuje, więc wierci mężowi dziurę w brzuchu, by pozbyć się raz na zawsze Robbie'go. Kiedy wreszcie udaje jej się przekonać męża i robot znika z domu – okazuje się, że Gloria bardzo źle to znosi. Czy matka pokona własne uprzedzenia i zgodzi się na powrót robota do dziecięcego pokoju?

Tak zaczyna się pierwsze z opowiadań opublikowanych w zbiorze *Ja, robot*. Ich wspólnym mianownikiem są problemy w relacjach między ludźmi i robotami. Autor – który jest twórcą „trzech praw robotyki” – pokazuje, jak kłopotliwe może być ich wdrożenie w praktyce. Roboty mogą działać wadliwie ze względu na ograniczenia wynikające z „trzech praw robotyki”. Pozorne usterekki mogą być spowodowane konfliktem logicznym między wydawanymi poleceniami, a imperatywem respektowania praw.

Większość opowiadań była bardzo interesująca. Do tego okraszona subtelnym humorem. Dopiero w dwóch ostatnich pisarz

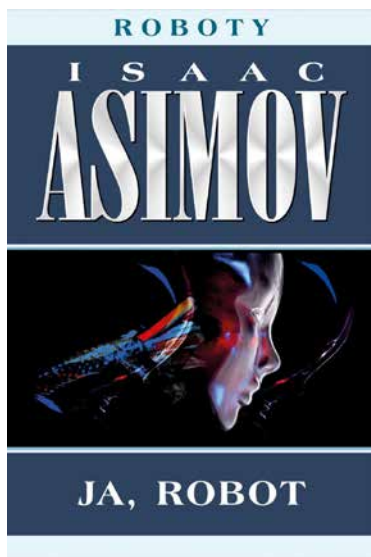
zaprezentował nieuzasadnioną wiarę w wyższość maszyn nad człowiekiem. Dość kuriozalna koncepcja. Ludzie mają mnóstwo wad – lecz bezdusznosc maszyn oznaczałaby tyranie, jakiej ludzkość nigdy nie zaznała. Już teraz stoimy przed trudnymi dylematami dotyczącymi autonomicznych komputerów. Celowo nie używam określenia „sztuczna inteligencja”, bo do tego im daleko. W każdym razie – co ma zrobić autonomiczny samochód, gdy na jego drodze znajdzie się dziecko? Przejechać je, czy zjechać z drogi i narazić życie pasażera?

Takich dylematów jest mnóstwo. Większość ludzi nie ma z nimi do czynienia na co dzień, ale lekarze czy politycy muszą się z nimi mierzyć. Czasami znajdują nieoczekiwane wyjście z trudnej sytuacji, a czasami nie. Czy maszyna miałaby rozterki moralne, czy po prostu zaakceptowałaby od razu mniejsze zło? Kwestia ta spędza sen z oczu filozofom, ale Asimov

z góry założył, że maszyny rozwiązują ludzkie problemy lepiej. Tymczasem już z lektury ostatniego opowiadania wynika, że ludzkie pragnienia i marzenia nic dla nich nie znaczą. A indywidualizm to tylko coś, co trzeba wyplenić w imię dobra większości. Kłamstwo zaś to tylko skuteczny środek do osiągnięcia celu, gdy prawda jest niewygodna. Przerażająca wizja ■

www.karolginter.pl

Itytuł od redakcji INFO!





JAN PLATA-PRZECHELEWSKI

JAKÓB A REMUS

Podczas jednej z dwóch czerwcowych delegacji do Grodu Kraka nadrobiłem wreszcie poważną zaległość czytelniczą: w pociągu dalekobieżnym przeczytałem obsypaną zasłużonymi nagrodami powieść **Radka Raka** Baśni o węzowym sercu albo Wtóre słowo o Jakóbie Szeli. Nie będę jednak zamieszczał tu jej recenzji sensu stricte – uczynił to bowiem swego czasu w *Okruchach* nasz niezawodny Ogan. Pokuszę się o tekst, którego koncepcja wyroiła mi się, gdy tylko o książce Raka usłyszałem: porównanie Baśni... z Życiem i przygodami Remusa **Aleksandra Majkowskiego**. Jako że oba te dzieła ukazują konkretne krainy w sposób historyczno-magiczny. I obydwa czynią to znakomicie!

Zacznę chronologicznie od powieści starszej: *opus magnum* doktora Majkowskiego. Ów zasłużony działacz młodokaszubski pisał tę książkę przez wiele lat. Powstawała w literackiej odmianie i pisowni języka kaszubskiego – jest więc przykładem dzieła regionalnego, ale nie ludowego – a drukiem wydana została pod koniec lat trzydziestych XX wieku. Najwyraźniejszą inspiracją wydaje się *Wiatr od morza* Stefana Żeromskiego: złowroga postać Smętka jako demona wspomagającego germańską ekspansję na słowiańskie Pomorze.

Z kolei powieść nowsza, która rozstawiła jej autora (notabene też lekarza – tyle że weterynarij) szeroko poza fantastycznym fandomem, nawiązuje nie tylko tytułem do poematu *Słowo o Jakóbie Szeli* Brunona Jasińskiego: spojrzenie na polskie dzieje nie z ptasiej perspektywy „pana”, lecz z żabiej perspektywy „chama”. Tym razem „kraią magiczną” staje się Galicja, zaś powieść napisana pod koniec drugiej dekady XXI wieku opisuje czasy nieco wcześniejsze niż w przypadku *Remusa* (nie druga, lecz pierwszą połowę wieku XIX).

W *Życiu i przygodach Remusa* (podaję polskie brzmienie tytułu, gdyż bariera językowa ograniczyła mnie do powojennego tłumaczenia Lecha Bądkowskiego) klucz jest

narodowowyzwoleńczy. To umityczniona opowieść o pruskim jarzmie, o chęci wyzwolenia Kaszub spod panowania zaborcy i powrotu do niepodległej Rzeczypospolitej; a przynajmniej – o przechowaniu świadomości i pamięci.

W *Baśni o węzowym sercu* takowe „mrzonki” mogą być co najwyżej fanaberia „jaśniepanów”. Gdzie bowiem marzyć o jakiejś narodowej wolności, gdy nie ma jej na poziomie społecznym, bytowym wręcz: nędza, głód, pańszczyzna, baty, ciemnota. Czy wynika to li tylko z przyjęcia innej – chłopskiej, nie szlacheckiej – perspektywy? Notabene ta pierwsza powinna być powszechniejsza: chociaż w Polsce szlachty mieliśmy proporcjonalnie znacznie więcej (licząc łącznie z zaściankową mizerią) niż np. w przedrewolucyjnej Francji – to jednak większość czytelników *Trylogii* w scenie ocalenia Jana Kazimierza powinna utożsamiać się nie ze strzelającym do szwedzkiego oficera Kmicicem, lecz z interweniującymi z nagłą chłopami...

Ukształtowany świat Austro-Węgier (jak uniwersum prawie każdego imperium, z pewnym Galaktycznym włącznie) jest bezpieczną ostoją dla funkcjonariuszy tegoż. Tak też wyglądało „CK państwo” w swym rozkwicie – zatem dla wielu obywateli (w tym także mieszczaństwa) późniejsza Wielka Wojna



niosąca jego rozpad oznaczała istny Armagedon. Na pewno nie dotyczyło to jednak wegetujących w nędzy chłopów.

U Majkowskiego tych problemów nie wiadać. Historyk mógłby orzec, z czego to wynika. Czy jest to kwestia przyjęcia narodowej – a nie społecznej – perspektywy. Czy może również kwestia różnicy cywilizacyjno-prawnej między zaborem pruskim a austro-węgierskim (o zabrze rosyjskim w tym kontekście nawet nie ma co wspominać!). Kaszubi z powieści żyją może skromnie (mleko, chleb, śledzie, ziemniaki, okrasa), ale nie ma mowy o śmiertelnych plagach głodu. Chłopi są prostymi ludźmi, jednakże nie analfabetami (wszak Remus próbuje budzić w nich świadomość, sprzedając, niemile widziane przez pruskie władze, polskie książki na jarmarkach i odpustach).

Podobnie ze szlachtą. U Raka to bezwzględni wyzyskiwacze i psychopatyczni sadyści. Nawet ci o patriotycznych zapędach – w większości (jak jeden z bohaterów *Popiołów* wspomnianego wcześniej Żeromskiego) marzą o powrocie takiej Polski, w której znów po chłopskich plecach na koń będą siadać. Ludzi światłych – rozumiejących, że tak dalej być po prostu nie może – jest wśród Rakowych dziedziców nieporównanie mniej. Chłopi i szlachta w *Baśni...* Raka to dwa różne światy (podkreśla to nawet używanie liczby mnogiej wobec każdego z panów). U Majkowskiego podział jest według klucza patriotycznego. Żli panowie to ci, którzy przyjaźnią się z Niemcami, czy nawet (o zgrozo!) sprzedają im swoje majątki. Dobrzy panowie to ci, którzy stawiają opór rzeczywistości Hakaty – czy zbrojnie, czy zachowując pamięci potomnych materialne i niematerialne świadectwa kaszubskiej kultury. Sam tytułowy bohater nie ma problemu ze swoim chłopskim pochodzeniem (może m.in. dlatego, że służy wyższym sprawom oraz że prawdopodobnie jest reinkarnacją pomorskiego rycerza sprzed wieków).

Gdy po raz pierwszy sięgnąłem po epopeję Majkowskiego – w życiu bym nie przypuszczał, że kiedyś moje słowa o zaborze pruskim zabrzmią nieomal łagodnie. Ale to tylko kwestia kontrastu z Rakowo-Jakóbowym światem, gdyż w *Remusie* słodko też wcale nie jest! Mamy politykę germanizacji, mamy pruskich żandarmów, mamy obraz niełatwego życia. Jednak bohaterowie w dużym stopniu są pogodzeni z panującymi stosunkami społecznymi. Przedstawiciele poszczególnych warstw wydają się traktować swe miejsce w szeregu jako coś oczywistego. Gdy Remus szaleńczo zakochuje się w córce dziedzica – znajomy Żyd zauważa, iż nie może on być zwykłym wieśniakiem, gdyż takowy nawet nie podniósłby oczu na panienkę ze dworu („barana ciągnie do owcy, a wilka do wilczycy”). Przedstawiciele kleru z kolei znajdują się poza oceną, niezależnie od swych poczyną: z respektem i zaufaniem opisany jest zarówno ksiądz ścigany przez pruskie władze za działalność patriotyczną, jak też ksiądz uwikłany w nikczemną intrygę gminną przeciw Remusowi. Jedyne niedogodność budząca opór u nielicznych – to butne panowanie obcej nacji.

Ale zostawmy na boku „skrzeczącą pospolitłość”. Czas przejść do elementu fantastycznego w obu tych wizjach...

U Majkowskiego fantastyki jest mniej; a przynajmniej nie jest ona aż tak wyraźna. Przez znaczną część powieści, niczym w klasycznej *weird fiction*, czytelnikowi trudno jest rozstrzygnąć, czy oglądamy świat oczami nadwrażliwca (który w dodatku nasłuchiwał się opowieści o Ormuździe i Arymanie), czy nasz bohater rzeczywiście jest w stanie dostrzec rzeczy, których zwykli hreczkosiej nie zauważają. Jednak w miarę rozwoju akcji to ta druga interpretacja zaczyna przeważać... Zamykamy książkę z przekonaniem, że adwokat Czernik (i malarz z Sarbska) był jednak wysłannikiem Arymana – a może nawet nim we własnej osobie. Z drugiej zaś strony – świat Majkowskiego

wyduje się baśniowo naiwny w zestawieniu z naturalistyczną brutalnością świata Raka.

Chociaż Rak stworzył uniwersum bardziej „ufantastycznione” – także u niego część scen można odczytać jako bajędy lub majaczenia. Ale owej fantastyczności mamy coraz więcej i więcej, więc bez fantastycznego klucza nie dałoby się *Baśni...* ani przeczytać, ani zinterpretować. Trafiają się nawiązania nawet późniejsze od akcji powieści, np. wyraźne aluzje do świata Tolkiena (opowieść o diablów jest chyba zresztą nazbyt dosłowna – acz sprawia frajdę

fanowi – wolę cytaty delikatniejsze, w rodzaju syczenia). Pojawiają się też odniesienia do *Pinokia*, *Ferdynandurke*, *Czarodziejskiej góry*, *Rozmowy z kamieniem* (nie wszystko z tego jest fantastyką *sensu stricte*). Autor zresztą bywa jeszcze bardziej postmodernistyczny – świadomie (w celu budowania fabuły) zaopatrzył ówczesną Galicję w kolej żelazną. Zostaje też swoiście wierny chłopskiemu punktowi widzenia: kwestia przywództwa Szeli w galicyjskiej rabacji ukazana jest nader przewrotnie i zdecydowanie fantastycznie (nie chcę tu jednak spoilerować).

Jeszcze jedno bardzo wyraźne rozróżnienie obu utworów – obyczajowe tło czasów, w jakich zostały one napisane. Czyli erotyzm i wulgaryzm.

Gdy Remus prawie umiera z niespełnionej i niespełnialnej miłości do „królewianki” – w opisach jego cierpień Majkowski ogranicza się do delikatnie opisanego warstwy uczuciowej. Rak, opisując namiętności Jakóba, absolutnie nie cofa się aspektami fizjologicznymi. Podobnie jest w *Baśni...* z innymi wątkami erotycznymi. Tak naturalistyczne opisy w okresie międzywojennym zostałyby zapewne odebrane jako czysta i wyrafinowana pornografia (nawet wspomniany Żeromski takie erotyki tworzyłby jedynie do

szuflady). Nie oskarżajmy jednak Raka o szukanie taniej popularności: te aspekty też są siłą jego książki, zaś mieszczaństwo na pewno było warstwą społeczną znacznie bardziej pruderyjną niż chłopstwo (przynajmniej w oficjalnych deklaracjach). Zresztą sceny erotyczne w *Baśni...* nie są wulgarnie czy niesmaczne. Poza tym jesteśmy już ponad pół wieku od kontrkulturowej rewolucji, więc przełamywanie dawnych tabu w literaturze czy w kinie od dawna przestało szokować. Podkreślić natomiast należy, że kobiety u Raka są niezwykle: fascynujące, pełnokrwiste, powab-

ne – i te realistyczne, i te fantastyczne, i dzierlatki, i dojrzałe – chociaż nijak nie przystają do ministerialnych „cnót niewieścich”.

Podobnie z wulgaryzmem. Tzw. „bluzgi” mają to do siebie, że z czasem błędą. Ponoć niegdyś naprawdę szokującymi przekleństwami były „psiakrew” i „psiakość”. Jeszcze za mego dzieciństwa nader mocnym przekleństwem była „cholera”. Dziś

powoli przestają szokować – niewyobrażalne wtedy w użyciu publicznym – najczęściej chyba stosowane słowa na „k” i „ch”... I takiego właśnie słownictwa (a nie tego archaicznego) używają do woli bohaterowie *Wtórego słowa o Jakóbie Szeli*. Uspółcześnienie języka pojawia się też w innych fragmentach dialogów (np. okrzyk „Ruchy, ruchy!” w scenie napadu dworskich rabusiów). Nie oznacza to jednak, że Rak nie potrafi uarchaicznić języka. Potrafi, i to jak! Zaś spore fragmenty jego opisów – to czysta poezja.

Tyle tej „analizy porównawczej”. Gorąco polecam lekturę obu omówionych książek! A wręcz wspaniale by było, gdyby Powergraph wydał tłumaczenie *Życia i przygód Remusa* w tej samej serii, co *Baśń o węzowym sercu*. Fantastyczno-historyczna wizja Kaszub niewątpliwie zasługuje na taką samą popularność, jak ta poświęcona Galicji ■



KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

ADAPTACJA W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE I SCHIZOFRENICZNEJ FORMIE, CZYLI O KOMIKSOWEJ WERSJI *RZEŹNI NUMER PIĘĆ*

Na długo zanim sięgnąłem po *Rzeźnię numer pięć* Vonneguta – miewałem czasem wrażenie, że wypadam z czasu. Kiedy więc w końcu trafiła do mnie wspomniana powieść, poczułem *déjà vu* i... natychmiast polubiłem jej bohatera, Billy'ego Pilgrima. Nie lubiłem zaś aliteracyjnie nawracającego zwrotu „zdarza się”. Uwierały mnie te dwa słowa przez całą książkę. Zwłaszcza wtedy, gdy kwitowały okrucieństwa, absurdy i wszechobecną śmierć. Przecież takie rzeczy powinny coś znaczyć! Chyba... No i co? Książka wciąż znajduje się bardzo wysoko na liście cenionych przeze mnie dzieł literackich. I zupełnie nie ma wpływu na to fakt, że jesteśmy równolatkami – nie z Billym, jak również nie z Panem Vonnegutem. Za to z książką – tak. Zdarza się.

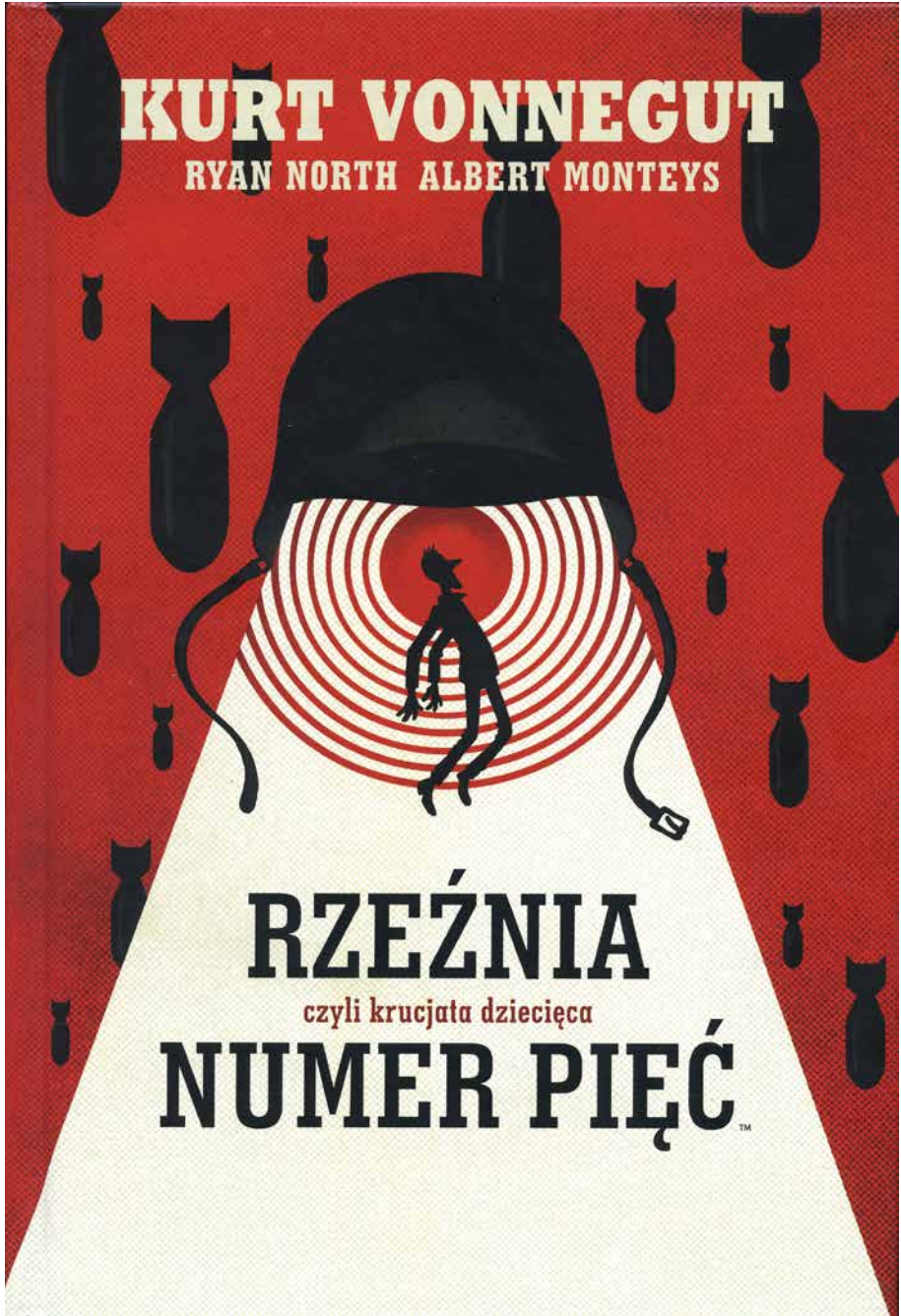
Wiele lat później widziałem film nakręcony na podstawie *Rzeźni*. Tak, tak: ten sam, który w roku 1972 dostał nagrodę jurorów w Cannes. Nie tylko im się spodobał; mnie też. Co więcej: kiedy w zeszłym roku otrzymałem w gwiazdkowym prezencie księgę pełną listów Kurta Vonneguta – dowiedziałem się, że jemu również się ta ekranizacja podobała. A pamiętam też, że się trochę przeląknłem gdy (gdzieś tak w rejonie roku 2013) ducek składający się z Guillerma del Toro i Charlie'go Kaufmana zaczął coś przebąkiwać, że będzie kolejna adaptacja filmowa *Rzeźni*. Nie żebym nie szanował ich dorobku kinematograficznego, ale jednak dzieło Vonneguta cenię bardziej. Jako że seriali nie lubię wcale – to w roku 2018,

na wieść o tym, że Netflix chce zmagistrować rzeźniczego tasiemca, przestraszyłem się nie na żarty. Lata lecą, a tasiemca nie widać. Noo, ale wiadomo, to plugastwo zwykle rozwija się w głębokim ukryciu. I oby tam dokonało żywota. Zdarza się.

Przeskakując w czasie, wzorem Billy'ego Pilgrima, znalazłem się ostatnio w roku 2022, w wejherowskiej Powiatowej Bibliotece Publicznej. A tam, na jednej z półek, zauważyłem wyeksponowaną okładkę ze znanym tytułem. Stało na niej *Rzeźnia numer pięć, czyli kruczata dziecięca*. Zdumiał mnie spory format książki: o mało co A4! A uwagę przykuła na dłuższej okładkowej ilustracji. I choć mam w domu dwa egzemplarze książki, to sięgnąłem i po ten. A kiedy rozchyliłem okładki – to z wrażenia o mało nie upuściłem dzieła na podłogę. Zobaczywszy wnętrze, zatrzasnąłem okładki i szybko przeżegnałem się na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby. **TO BYŁ KOMIKS!** Zdarza się.

We wczesnej młodości, czyli gdzieś w latach 1975–1985, czytałem wszystkie chyba komiksy wydane w Polsce, a dostępne zwykłym nabywcom. Lubie je, bo chyba nie byłem wybrednym czytelnikiem. Z przyjemnością pochłaniałem *Klossa, Żbika, Gąpiszona, Kajka i Kokosza, Diplodoka, Kowala, Thorgala*... A potem nagle mi przeszło to komiksowe czytanie. Nie całkiem, oczywiście, ale jednak przeszło. Zdarza się.

Tego, co przyszło mi do głowy przy czytaniu i oglądaniu komiksu zrobionego z *Rzeźni numer pięć*, żadną miarą nie da się nazwać recenzją.



Zwyczajnie brak mi kompetencji, by recenzować komiksy. Ale mogę przecież napisać, co myślę o tym, co zrobili Ryan North i Albert Monteys z powieścią Vonneguta. Żeby za długo nie kluczyć i nie plątać się w słowach – przypała mi to do gustu. Opowiadają historię Vonneguta wiernie, ale w psychodelicznej formie oraz w telegraficznym skrócie. I jest to dla mnie sposób całkiem nowy. Mam też przekonanie, że komiksowa wersja spodoba się zarówno tym, którzy czytali powieściową *Rzeźnię*, jak i tym, którzy znają tylko jej ekranizację. Jest też duża szansa, że po wspomniane wersje opowieści Vonneguta sięgną również ci, którzy Billy'ego Pilgrima poznają dopiero teraz, przez ów komiks. Autorzy, moim zdaniem, świetnie sobie poradzili z nielinearnością, z czasowymi oraz przestrzennymi przeskokami, no i z namolnymi aliteracjami też. Zdarza się.

Udało im się, bo znaleźli sposób. Pięknie splątali narrację pierwszoosobowe i trzecioosobowe. Zanim przeszli do gawędy o Billy'm – opowiedzieli, głosem Vonneguta, o narodzinach pomysłu, o tym jak powieść jest skonstruowana, a w końcu North, przekazuje doświadczenia powieściopisarza-żołnierza-jeńca. Dzięki temu zabiegowi czytelnicy poznają historyczne, prawdziwe, faktograficzne elementy opowieści. W mojej opinii autorzy komiksu doskonale wykorzystali najmocniejsze strony używanego medium. A ja, jako miłośnik powieści, wielokrotnie zachwycałem się ich pomysłami, proponowanymi rozwiązaniami powieściowego galimatiasu. Świetnie oddali ducha powieści bez zarzucania czytelnika/widza tysiącami obrazków czy ogromnymi ramkami tekstowymi. W tym komiksie na wszystko znalazły się niebanalne patenty: na listę bohaterów, na charakterystykę postaci, na realia historyczne, na specyficzne poczucie humoru, na igraszki z czasem. I – co ważne – na niekonwencjonalność; stanowi ona

przecież specyfikę powieści Vonneguta. Całkiem jak w oryginale – mamy rozpacz, czarny humor, mnóstwo absurdów i jeszcze więcej śmierci. Zdarza się.

Graficznie styl Monteysa przypomina mi trochę dawne prasowe komiksy, a trochę kreskówki. Stworzone w ten sposób postacie młodzieńców uczestniczących w wojnie zdają się jeszcze młodsze, a to przecież koresponduje z podtytułem książki. Bardzo podobało mi się rozwiązanie, w którym Billy przed przemieszczeniem w czasie i zaraz po nim ukazywany jest w tej samej pozycji. Momenty podróży w czasie są, dzięki rozwiązaniom kolorystycznym, identyfikowalne już na pierwszy rzut oka. I, co dla mnie ważne, dla Vonnegutowskiej aliteracji też znalazło się rozwiązanie. Ale nie napiszę jakie, bo to byłby znaczący spoiler, za który część Czytelników mogłaby mnie zabić. Dodam za to, że liternictwo komiksu jest bardzo czytelne (to ważne, gdy się nosi dziesięciodiopriowe szkła), dymki całkiem klasyczne, no i nie ma nadmiaru onomatopeicznych fajerwerków. Te ostatnie czasem, w innych komiksach, doprowadzały mnie do furii. Zdarza się.

Jednym tylko byłem rozczarowany, w dodatku po trzykroć rozczarowany: tym, że nawet jeśli robisz to bardzo powoli i bardzo uważnie – tę wersję *Rzeźni numer pięć* przeczytasz stanowczo za szybko. Zdarza się. Niestety ■

Tytuł: *Rzeźnia numer pięć, czyli krucjata dziecięca*

Wydawca: Egmont

Data premiery: 23.02.2022

Seria: ADAPTACJE LITERATURY

Liczba stron: 192

Wymiary: 17 × 26cm

Scenariusz: Kurt Vonnegut, Ryan North

Ilustrator: Albert Monteys

Tłumacz: Jacek Żuławnik

Typ oprawy: twarda



ARTUR ŁUKASIEWICZ

GRY WOJENNE (1983) – Z PERSPEKTYWY ROKU 2022

Kiedy prawie czterdzieści lat temu widziałem ten film w kinie – miałem wrażenie, że obcuje z czymś absolutnie wyjątkowym. Z jednej strony miałem do czynienia z nośnym wtedy tematem wojny nuklearnej, o której w tamtych dniach końca 1983 i początkach 1984 roku całkiem realnie mówił świat. I to raczej w kategoriach całkiem bliskiej perspektywy, niżli jakiejś dalekiej mrzonki. Wszyscy żyliśmy podskórnym strachem przed, wydawało się, nieuniknionym prędzej czy później konfliktem. Mimo iż Polska była związana (wydawało się) nierozzerwalnym sojuszem z bratnim ZSRR i oczywiście pewna „wygranej” – to my, tacy jak ja nastolatki już po ukończeniu, wydawało się wypełniającej prawie całe

świadome życie szkoły podstawowej, a tuż przed rozpoczęciem swojej drogi ku dorosłości w szkole średniej, jeszcze może nieświadomie czuliśmy, że coś wisi w powietrzu. Zanim wspomniany już przeze mnie gdzieś Frankie Goes To Hollywood wyliczy nam liczbę kiloton nuklearnych głowic przypadającą na głowę przeciętnego mieszkańca tej ziemi i obuchem w łeb uświadomi nam grozę sytuacji. Ale to dopiero we wrześniu/październiku 1984 roku, kiedy ten maxisingiel trafi do moich rąk. I zanim z mozołem i nieudolnie spróbuję przetłumaczyć z niemieckiego tekst piosenki.

Chciałem zrozumieć.

W dniu, kiedy oglądałem ten film – przeżuwałem jedynie coś niczym błysk myśli, sennego koszmaru.



Drugim elementem, absolutnie absorbującym mój ówczesny umysł, był oczywiście komputer i możliwość swobodnego komunikowania się poprzez niego ze światem zewnętrznym. Co w naszej rzeczywistości było niczym opowieść nie z tej ziemi. Choć o komputerach już coś niecoś wiedziałem, bo pokazywano je w telewizji w programie „Sonda”. Tu i ówdzie demonstrowano gry. Ba, nader nieliczni szczęśliwcy mogli już pochwalić się ich posiadaniem. Ale były to żałośnie małe pudełka podłączone do telewizora – w porównaniu z tym, co pokazywano na ekranie. David (Matthew Broderick) posiadał komputer, własny monitor, stację dysków i drukarkę – oraz oczywiście modem, za pomocą którego mógł się komunikować z całym światem w poszukiwaniu komputerów, dzięki którym mógł „grać w gry”, ewentualnie zarezerwować sobie bilety lotnicze do Paryża



lub, w ostateczności, poprawić ocenę z biologii sobie i koleżance (Ally Sheedy).

Po latach, kiedy mogłem już sprawdzić zarówno markę, jak i typ komputera przedstawionego na ekranie, mogłem stwierdzić, że prezentowany model w roku, kiedy kręcono film, był komputerem nie dość, że drogim (komplet wymienionych przeze mnie urządzeń kosztował grubo ponad 1000 dolarów, na co trudno byłoby raczej stać rodzinę, w której głównym zajęciem była praca związana z wynajmowaniem mieszkań; no, chyba że mielibyśmy do czynienia z apartamentowcami na Manhattanie), to w dodatku mocno już przestarzałym i wycofywanym z produkcji. Widocznie tak było bezpieczniej dla wytwórni, by nie być posądzonym o zły pijar na komputerowym rynku. Choć jednak możliwość rozszerzenia pamięci do niebagatelnej pojemności pięciu megabajtów robiła kolosalne wrażenie.

Cała ta zimnowojenna sytuacja jest punktem wyjścia owej historii.

W czasie przeprowadzonego testu okazało się, że dwadzieścia procent dotychczasowego personelu odpowiedzialnego za przekręcenie kluczyków startowych (i w konsekwencji wyrzelenia rakiet z głowicami jądrowymi

i termojądrowymi) „miało wątpliwości i nie wykonało zadania”.

Dowództwo NORAD (*Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej*) postanawia więc, że – aby wykluczyć takie przypadki – kontrolę na całością operacji przejmie komputer War Operating Plan Response (WOPR).

Zadaniem WOPR jest ciągła analiza sytuacji strategicznej i szukanie ewentualnych zagrożeń oraz podejmowanie w tej sprawie decyzji. Co prawda ostateczne decyzje miał podejmować człowiek, ale musi się wydarzyć nieuniknione.

Dave szuka „gier”. A przypominam, że w tamtym czasie internet, przynajmniej w takiej formie, w jakiej znamy go dziś, nie istniał, więc łączyć się można było jedynie z „konkretnym numerem”, a za jego pośrednictwem kontaktować się z grupą na przykład użytkowników komputerów i wymieniać się doświadczeniami (taki punkt kontaktowy zwany był BBS).

David dzwoni więc „po omacku”, łącząc się kolejno z różnymi numerami, przypadkiem natrafia na tajemniczy komputer, który wymaga od niego autoryzacji i żąda hasła. Jak się okazuje – rozumie on pojęcie gier, tym bardziej

wzbudzając zainteresowanie komputerowego zapaleńca. Chłopak przekonany jest, że trafił mu się BBS z wersjami beta gier. Jak się możemy domyślać: rzeczony komputer to nasz WOPR.

Tu oczywiście pojawia się pierwsza lampka ostrzegawcza. Kto, będąc przy zdrowych zmysłach, podłączyłby komputer wojenny do sieci telefonicznej? Nawet w tamtych czasach „pierwocin komputeryzacji na szerszą skalę” średnio inteligentny wojskowy trep uznałby to za mocno nierozsądny pomysł. Choć w późniejszych latach zdarzało się komputerowym hakerom włamać nawet do samego NORADU; ale nigdy nie był zagrożony sam system odpalania rakiet, który (jak mi nie mam) ma zupełnie niezależny system, więc – aby się doń dostać – należałoby po prostu fizycznie się do niego podpiąć, tak jak to się zwykle robi w zrobionych parę lat później sensacyjnych filmach. Najczęściej grupa najemników atakuje jakieś centrum informatyczne, opanowuje je, a kilku jajogłowych podłącza się do konkretnej sieci, by dzięki temu realizować swoje chore wizje.

Dave – dowiedziawszy się, kto jest autorem samego programu – szuka tak zwanej furtki, hasła wejściowego do programu; a kiedy w końcu, po tygodniu poszukiwań, udaje mu się je odgadnąć, zostaje wzięty za samego Doktora Falkena (John Wood) – autora podstaw strategii i twórcę programu obronnego. Rozpoczyna z pozoru niewinną rozgrywkę, inicjując grę w Wojnę Termonuklearną. Niestety, musi ją przerwać – bo niewłaściwie wyrzucił śmieci i teraz musi zająć się ich sprzątnięciem.

Następnego dnia dowiaduje się, że jego poczynania „działy się naprawdę”. To znaczy, że NORAD wziął jego grę na poważnie, ale na szczęście był to „fałszywy alarm”.

Co gorsza – po jakimś czasie komputer sam się z nim kontaktuje i informuje go, że gra „trwa”.

Tak więc z grubsza zaczyna się zabawa w „koniec świata”...

Zupełną „fantastyką” wydaje się być nie tylko pomysł, by powierzyć pieczę nad arsenałem nuklearnym komputerowi, ale i sam poziom inteligencji komputera. W roku 1982, kiedy film kręcono, nawet zaawansowane komputery wykorzystywane w wojsku nie były mądrzejsze niż dzisiejszy telewizor – i to taki sprzed kilku lat. A może nawet były słabsze? WOPR nie tylko sam z własnej woli łączy się z profesorem Falkenem, ale rozmawia z nim w sposób inteligentny. A dopiero nie tak dawno przedstawiono badania nad sztuczną inteligencją, twierdząc nawet, że uzyskała ona „samoświadomość”; owa rozmowa była mniej więcej na tym samym poziomie, co rozmowa z WOPR – ale dziś mamy rok 2022!

Około czterdziestu lat temu byłem oczarowany tym filmem. Dziś, po kolejnym obejrzeniu, widzę jego umowność, dziury scenariuszowe i naiwność. Cieszy tępotą generała Berringera (Barry Corbin – niezapomniany astronauta Maurice z *Przystanku Alaska!*) Troszkę razi prostota całości oraz naciągane zakończenie. Mimo wszystko dziś, kiedy jestem po seansie odświeżającym (kiedyż to był ostatni raz, gdy go widziałem? nie pamiętam...) – znów wzbudza sympatię i nostalgię za „tymi dawnymi, dobrymi czasami”; choć były one niepewne, wojna wisiała na włosku – to robi się tak jakoś radośniej na sercu.

A może to tylko ja dziedzięję?

Serdecznie zapraszam na seans! Starszym dla przypomnienia, młodszym z odpowiednim wprowadzeniem. Dzieciom, bo śmiało można go polecić starszakom z młodszych klas podstawówki, ku przestrodze, bo choć niby czasy nie te i świat inny – ale za płotem jakieś dziwne duchy krążą i raczej trzeba iść przez pole, bo we wsi Moskał stoi... ■

/tytuł od redakcji INFO/



YARKOS 2022

Autoportret drugoplanowy Yarkosa,
zlokalizowany za pomocą
teleskopu galaktycznego.

ise
er-flis
ss
your light
n of

rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)

ARTUR ŁUKASIEWICZ

TO HALO JEST DLA MNIE „NIE HALO” – CZYLI TELENOWELA

Na początku zaznaczam. Nie grałem w *Halo*. Nie zamierzam grać, bo refleks u mnie ten-tego, jak szachisty. A poza tym, jeśli od wielkiego dzwonu w coś zagram, to raczej w coś, co wymaga ode mnie trochę pomyślnku, a nie jedynie sprawnego refleksu. Zresztą – kiedy to ja ostatni raz naprawdę grałem?

Siadając przed monitorem wiedziałem jedynie, że jest to serial na podstawie gry i że jest to tak zwana strzelanka pierwszoosobowa

Spodziewałem się więc co najwyżej wielkiego tubudu. Akcja, akcja i jeszcze raz akcja. A dostałem w zamian pieprzenie o Szopenie...

No dobra, nie wiedziałem, że ta gra to coś więcej niż tylko zapieprzam do przodu, zabijam tych złych i na końcu coś tam dostaję, kwiaty, uścisk dłoni Prezesa i jakąś dziewczynę. Szczerze mówiąc – tego nie rozumiem; ale zapewne, jak zwykle, chodzi o to, by pieniądze przechodziły z rączki do rączki, a prezesom koncernów żyło się dostatniej.

OK, jeśli są tacy co to kupują; mnie nic do tego.

Ale jest oto serial – i na nim się skupmy.

Od strony wizualnej – to ja właściwie nie mam większych zastrzeżeń. Widać wydane kwoty wyraźnie. Trudno mi się przyćpić poważnie do czegokolwiek. Nie wnिकam w to, czy ci źli powinni wyglądać tak czy inaczej i czy nasz główny bohater powinien czy nie zdejmować hełm (o to toczą się internetowe boje na poważnych forach; wiem, bo po seansie zajrzałem na kilka takowych). Szczerze mówiąc – nic mnie to nie obchodzi.

Mamy któryś-tam wiek. Wszechświat jest podzielony na tych z „Przymierza” i tych z „Komicznych Narodów Zjednoczonych”. W uproszczeniu na ludzi i resztę. Na domiar tego części planet (chyba; bo o tym, że buntują się inne planety, to ja się dowiedziałem znacznie później ze streszczenia ogólnej historii całego uniwersum) nie za bardzo podoba się zwierzchnictwo tych z Kosmicznych Sił Zbrojnych. I, szczerze mówiąc, to wcale im się nie dziwię, bo towarzystwo raczej nieciekawe. Nie podoba się – kulka w łeb i spokój! Parszywy zarządca planety Madrigal, gdzie w dużej mierze dzieje się akcja, to Vinsher Grath (Burn Gorman), który się nie patyczkuje. Z miną godną wzorowego psychopaty zjada przynajmniej trzech „wrogów” dziennie na śniadanie w imię równowagi, stabilizacji i porządku publicznego.

Na tej oto właśnie planecie, roszczącej sobie prawo do niezależności, najpierw ląduje oddział gadzin z Przymierza. Nie do końca na razie wiadomo po co, ale szybkim kilkoma strzałami wybija większość zbuntowanej populacji czegoś...

Właśnie: czego?

Wygląda to jak osada górnicza, choć rządzi nią generał, skupia zaś tę zbuntowaną część społeczeństwa Madrigalu. Zanim jednak czegokolwiek się dowiemy sensownego – na planecie ląduje słownie CZTERECH SPARTAN. Dla tej czwórki najmniejszego problemu nie stanowi rozwalenie całej najeżdźczej armady w drobną kaszkę.

Powtórze: czterech żołnierzy....

Zastanawiające, ilu byłoby potrzebnych, żebyśmy – cytując klasyka – „sami tę wojnę wygrali”.

Właśnie. Wiemy, że Spartanie to specjalnie wyszkoleni, poddani mutacjom, obdarzeni niezwykłą siłą i odpornością żołnierze, wyciągnięci z domów jeszcze jako dzieci. Choć w retrospekcji widzimy ich sporą gromadkę, to obcujemy jedynie z tą wyżej przedstawioną czwórką oraz jednym „uciekiniem”, który (jak się okaże) będzie miał swoją rolę w dalszej części tej historii. Co sprawiło, że akurat te osoby zostały wybrane – nie wiemy i się nie dowiemy.

Wśród nich jest Master Chief (Pablo Schreiber) – gość, który jest uważany chyba za dowódcę ich wszystkich o imieniu Johnny 117.

Master Chief „przypadkiem” natyka się na tajemniczy artefakt, który jest początkiem jego podróży w przeszłość i... zarzewiem jego własnego buntu oraz wzmożeniem konfliktu z Przymierzem, które ma swoją wizję i potrzebę wykorzystania artefaktu do niecnym celów. A ich „Błogosławiona” – ludzkie dziecko, a obecnie już dorosła kobieta (Charlie Murphy), które ma „specjalne zdolności do odczuwania” – za zgodą przywódcy duchowego Przymierza wyrusza na jego poszukiwania.

Master Chief – to inaczej Głównodowodzący; ale kim – bo my, widzowie, poznajemy tych trzech współczesniczących w bitwie na Madrigalu ... i to wszystko. Iloza żołnierzami dowodzi? Gdzie są ci żołnierze? I tak w ogóle – co go takiego wyróżnia z tłumu innych? Bo same zapewnienia, że jest wyjątkowy i niezwykle istotny, jakoś mi nie wystarczają...

Master Chief ma dobre serduszko, bo podczas potyczki na Madrigalu udaje mu się uratować córkę dowódcy zbuntowanych mieszkańców o imieniu Kwan Ha (Yerin Ha) – najbardziej irytującą postać w tej opowieści, której wątek niczego istotnego (przynajmniej na tę chwilę) nie wnosi. A to dziewczę pałęta się po ekranie (denerwując mnie w sposób wyjątkowy), opętane obsesją zemsty i walki za wszelką cenę.



Halo, USA 2022

No i na koniec zostawiłem sobie panią doktor Catherine Halsey (Natascha McElhone) – nie do końca sprecyzowaną postać, twórczynię programu Spartan, prowadzącą nielegalne badania nad procesem klonowania, chcącą wykorzystać sztuczną inteligencję i połączyć ją w jedno ze Spartanami, by przy okazji stworzyć Nadczłowieka – istotę doskonałą.

Pani doktor niby pracuje, ale głównie zajmuje się intrygowaniem i głoszeniem poglądów, którym pewien austriacki malarz (gdyby dzisiaj żył) radośnie by przyklasnął, a przynajmniej zostawiłby w stosownym miejscu lajka. To ona głównie generuje słowotok pełen górnolotnych odniesień do transcendencji, głębokiego współistnienia sztucznej inteligencji i niezwykłej sprawności ludzkiej. Co tak naprawdę brzmi w moich uszach niczym napisane przeze mnie wyżej pieprzenie o Szopenie. Z tej zbitki słów nie wynika kompletnie nic. A że pani pojawia się na ekranie często i gęsto, więc mamy tego wylewu słownego po nozdrza. W dodatku pani doktor zachowuje się czasem gorzej niż trzynastoletni średnio inteligentny małolat.

Oto przykład. Johnny 117 dowiaduje się, że ma wszczepiony w sobie implant, który powoduje brak jakichkolwiek oznak współczucia i zmusza niejako do wykonywania bezdusznych rozkazów. Kiedy chce go usunąć – pomaga mu w tym zintegrowana z nim sztuczna inteligencja Cortana, która robi to za wiedzą samej doktor; ale kiedy w wyniku tego nasz superżołnierz zaczyna zachowywać się niestandardowo, okazywać swoje myśli, a co gorsza działać samodzielnie – to już pani

doktor, zadziwiona, gniewnie marszczy czoło. Teraz rżnie przysłowiowego głupa, jakby nie wiedziała, o co chodzi.

W ogóle mało jest w tym serialu konsekwencji w postępowaniu. Człowiek niezaznajomiony w mitologii gier *Halo* (jak ja) – albo uzna całą tę historię za kompletnie nielogiczną i wyglądającą na opowieść (napiszę trochę przewrotnie, ale tak to właśnie wygląda), jakby ktoś do oczka kałuży próbował włączyć co najmniej Gwiazdę Śmierci. Albo, chcąc nie chcąc, będzie musiał sprawdzić o co „halo” w tym *Halo* – szukając jakichś wyjaśnień w sieci.

A przecież serial ma mnie zachęcić, a nie zniechęcić.

Poruszamy się w obrębie paru głównych i pomniejszych bohaterów – kompletnie nie mając pojęcia, co się dzieje gdzie indziej. O wielu problemach dowiadujemy się od różnych postaci – i to mimochodem. Ledwie poznajemy dwie planety (a przecież mamy do czynienia z kosmicznym mocarstwem i toczącą się międzyplanetarną wojną; lecz media kompletnie o niej milczą; za to namiętnie zajmują się konfliktem w Madrigal – małej, nieistotnej osadzie!).

Czterech Spartan i Głównodowodzący – też nie wiadomo co i jak; w dodatku akurat Szeף zajęty jest zupełnie czym innym niż walką, bo odkrywaniem własnej przeszłości (której nie wolno mu odkrywać, ale on i tak to robi, za milczącą zgodą zwierzchników, co doprowadza oczywiście do wypowiedzenia posłuszeństwa). Aha, i ci głównodowodzący mają sporo za uszami, także w stosunku do Master Chiefa (jednak nie przeszkadza im to wcale, że tamten drąży temat).

Nasz Szeף swobodnie sobie lata, chociażby do osady piratów kosmicznych (w jaki sposób silnie zhierarchizowane i zmilitaryzowane

mocarstwo tak spokojnie toleruje tę nację – tego nie rozumiem). A przecież pojawienie się Spartanina wśród Piratów powinno spotkać się albo z wrogością, albo przynajmniej zorganizowaną niechęcią z ich strony. Poza tym pozwala mu się zając Błogosławioną, która bezkarnie pojawia się na Madrigalu (przy okazji rozwalając jeden z kosmicznych frachtowców) oraz może pojechać na rodzinną planetę, z którą wiąże go niejasne wspomnienia (a których, jeszcze raz przypominać, nie wolno mu mieć). I w dodatku trwa jakaś wojna!

Aha. Cały czas podczas oglądania nurtowało mnie pytanie, czym do cholery jest to Halo, o którym się tak głośno tutaj mówi. Ani jedni ani drudzy nie potrafią w przystępny sposób tego wyjaśnić. W ogóle mam wrażenie, że to kompletnie nieistotne.

To trochę jak w jednej z południowo amerykańskich telenowel, którą kiedyś udało mi się zobaczyć. W serialu owym, dziejącym się głównie w biurach jakiejś fabryki, mówi się o „zwiększaniu produkcji”, „alokacji kapitału”, „spowolnieniu sprzedaży”. Toczą się miłostki, zdrady i koalicje, ale mimo miliona pięciuset stu dziewięćset odcinków nie pada ani razu zdanie „Jaka to jest fabryka; i co produkuje?”.

No, Hello...! To znaczy Hallo!

Nie zrozumcie mnie źle. Ten serial da się obejrzeć. Ci, którzy znają grę, mogą się spierać o hełm – myślę jednak, że bez większych problemów tykną całość. Ci, co nie znają gry, chcąc nie chcąc będą musieli sięgnąć po jakiś bryk na ten temat – i z przerażeniem zauważą, że mają do czynienia z bardzo luźną adaptacją oraz że obecnie znajdują się tam, gdzie sprawny scenarzysta i producent powinni być mniej więcej po dwóch odcinkach. Na dziś wygląda na to, że całość ogarniemy jako-tako w dwudziestym sezonie. Czego ja jednak sobie jakoś nie życzę ■

TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI

FUNDACJA – CZYLI DZIEJE CYWILIZACJI

Isaac Asimov to klasyk fantastyki naukowej, a jego cykl pod zbiorczym tytułem Fundacja to jeden z najlepszych, o ile nie najlepszy na świecie, cykl powieściowy s-f. Dlatego z wielką ciekawością śledziłem informacje o tworzeniu serialu opartego na tej prozie. Akurat w moim przypadku nie było problemem to, że zabrała się za to firma Apple, a konkretnie ich platforma telewizyjna Apple TV+. W sumie – to nawet dzięki temu serialowi zdecydowałem się na wykupienie subskrypcji tej platformy streamingowej. Emocje były spore. Cykl Fundacja po raz pierwszy przeczytałem będąc w ogólniaku (jakieś 35 lat temu) i wtedy mną wstrząsnął. Dlatego z ogromną ciekawością obejrzałem serial, oczekując czegoś podobnie wyjątkowego.

Serial *Fundacja*, składający się z dziesięciu niespełna godzinnych odcinków, powstał w okresie listopad 2019 – kwiecień 2021, a na platformie Apple TV+ pojawił się pod koniec 2021 roku. Czy mi się podobał? Trudno dać krótką i jednoznaczną odpowiedź. W zasadzie otrzymałem coś innego niż się spodziewałem; jednak serial zaciekał mnie na tyle, że chciałem oglądać kolejne odcinki.

Po pierwsze trzeba od razu wyjaśnić, że serial *Fundacja* nie jest ekranizacją książki. Wykorzystuje on pewne motywy powieści (nie wszystkie), zmienia je, ubarwia, dodaje nowe – i tworzy z tego zgrabną całość. Pojawia się nawet wątek miłosny. Oczywiście główna oś pozostaje niezmienna. Jest Hari Seldon, twórca psychohistorii, który – łącząc matematykę, statystykę, psychologię i socjologię – odkrywa matematyczny sposób prognozowania rozwoju cywilizacji. Z jego obliczeń wynika, że

tę czeka zapaść i „wieki ciemne”. Nie można temu zapobiec, ale można ten okres rozkładu skrócić – o ile rządzący Imperium Galaktycznym zgodzą się zastosować do jego wskazówek, a przede wszystkim zgodzą się stworzyć instytucję o nazwie Fundacja, która będzie skarbnicą wiedzy, gdzie zgromadzone będą doświadczenia i nauki całego cywilizowanego wszechświata. Gdy dotychczasowe Imperium Galaktyczne pogrąży się w chaosie, to właśnie z Fundacji ma wyjść impuls, który ponownie ucywilizuje barbarzyńców, co pozwoli odbudować kosmiczną cywilizację.

Hariego Seldona i jego teorie poznajemy dzięki Gaal Dornick, który... okazuje się młodą kobietą, ściągniętą do współpracy przez Seldona (już tu zaczynają się twórcze zmiany scenarzystów: u Asimova Gaal jest mężczyzną, zaprzyjaźnionym z Harim matematykiem). To oczyma tej bohaterki poznajemy planetę





Trantor, centrum galaktyki i siedzibę Imperatora, który (kolejna ciekawostka) składa się z trzech osób. Dowiadujemy się, że Imperator Cleon I, który stworzył Imperium Galaktyczne, postanowił „rządzić wiecznie” poprzez klonowanie samego siebie. Jakby tego było mało – w tym samym czasie przebywa na Trantorze aż trzech Cleonów, nazywanych Bratem Świt, Bratem Dzień i Bratem Zmrok. Ta przedziwna trójca tworzy coś w rodzaju rodziny i dzieli ich taka różnica wieku, która odpowiada relacji: dziecko–ojciec–dziadek. Klony z jednej strony wiedzą, że są genetycznymi kopiami Cleona I, a z drugiej – działają wspólnie, dzielą się wiedzą, przekazują sobie życiowe doświadczenia; a kiedy przychodzi czas, Brat Zmierzch umiera, a w zasadzie jest poddawany eutanazji. Jego miejsce zajmuje dotychczasowy Brat Dzień (od tego momentu nazywany Bratem Zmierzch), tego z kolei zastępuje Brat Świt (od teraz nazywany Bratem Dzień), a na świecie pojawia się kolejny klon (niemowlę, które staje się Bratem Świt). W miarę rozwoju akcji serialu (kilkadziesiąt lat) nie byłem pewien, czy tę trójkę traktować jak jeden organizm, czy każdego z osobna i niezależnie od siebie. Przeważało raczej to drugie podejście. Przyznać jednak muszę, że postawiło to przed moją percepcją zupełnie nowe wyzwania.

Na szczęście główna oś powieści pozostała w zasadzie nienaruszona. Mamy psychohistorię

oraz konflikt, jaki wywołuje Imperator, a w zasadzie Brat Dzień, w pokazowym procesie sądowym łaskawie postanawia oszczędzić Hariego Seldona od kary za sianie zamętu i niepokoju społecznych poprzez upublicznianie swojej teorii o nieuchronnym upadku Imperium Galaktycznego - ale zsyła go na odległą, peryferyjną planetę Terminus, gdzie wraz – ze swoimi popiecznikami i współpracownikami – będzie mógł dalej pracować, rozwijać psychohistorię i weryfikować swoje hipotezy. Od tego momentu serial zaczyna toczyć się dwutorowo. Obserwujemy podróż pionierów na Terminusa, gdzie w surowych warunkach tworzą „bank wiedzy”, przygotowując się na nadchodzący upadek Imperium Galaktycznego. Obserwujemy także Trantora i sklonowanych imperatorów, którzy muszą zmagać się z przeciwnościami zagrażającymi spójności Imperium Galaktycznemu, do których dociera, że może jednak Hari Seldon i jego psychohistoria nie są konfabulacją wyssaną z palca.

Akcja serialu staje się wciągająca. Pojawiają się nowe wątki. Ciekawym zabiegiem twórców są liczne retrospekcje bohaterów, dzięki którym dowiadujemy się wielu interesujących faktów o Harim Seldonie, Imperatorze Cleonie i jego klonach, Gaal Dornick oraz innych postaciach – nie będę ich tu wymieniał, żeby nie psuć zabawy tym, którzy serial będą oglądać. Zaznaczam tylko, że są to zarówno

postacie „książkowe” jak też postacie wykreowane na potrzeby serialu. Ale nawet te „książkowe” mogą się bardzo różnić od swoich pierwowzorów literackich. Rozwój akcji powodował zmianę mojego nastawienia do bohaterów. Początkowy podział na dobrych i złych ewoluował. W motywach postępowania i sposobach działania bohaterów, zamiast bieli i czerni, zaczęła dominować szarość.

Obejrawszy kilka pierwszych odcinków podświadomie próbowałem wtłoczyć akcję serialu w książkowe ramy. Szybko zorientowałem się, że to się nie uda i lepiej nie czekać na sceny, które teoretycznie powinny się wydarzyć. Serial *Fundacja* to nie ekranizacja powieści. Gdy wyzbyłem się tego podejścia i podszedłem do oglądania kolejnych odcinków bez żadnych oczekiwań, skupiając się na czerpaniu przyjemności ze śledzenia ciekawej historii, dałem się jej ponieść i wciągnąć. Akcja jest całkiem inteligentnie poprowadzona, nie epatuje tanim efekciarstwem, choć przepiękne filmowe panoramy oczywiście występują (Apple nie pożalowało grosza). Dużo dzieje się w dialogach, co wymaga skupienia. Przypomina to trochę lekturę książki, która jest wysublimowanym studium rozwoju i upadku cywilizacji oraz wielopłaszczyznowych relacji między ludźmi i próbą odpowiedzi na pytanie, jak czyny jednostki mogą wpłynąć na bieg historii. Serial idzie tym tropem. Kolejne odcinki

oglądałem z dużą przyjemnością, a po ostatnim odczuwałem niedosyt, że to już koniec.

Serial zakończył się w taki sposób, aby można go było kontynuować, tworząc kolejny sezon. Na koniec dostaliśmy m.in. jasną wskazówkę, że gdzieś w galaktyce jest druga *Fundacja*. Z nieoficjalnych informacji wynika, że Apple tworzy już drugi sezon, który miałby wejść do dystrybucji pod koniec tego roku.

Na koniec słówko o aktorach. Utarło się, że w serialach platform streamingowych większość obsady to aktorzy „nieopatrzni”, bez znanego nazwiska. Jedynie do głównych ról angażuje się znaną twarz, która ma dodatkowo przyciągnąć widza. W serialu *Fundacja* w oczy od razu rzuca się charakterystyczny Jared Haris (seriale *Czarnobyl*, *The Crown*, film *Sherlock Holmes: Gra cieni*) oraz, co dostrzegłem nieco później z uwagi na całkowicie inną charakteryzację, Lee Pace (król elfów Thranduil w trylogii *Hobbit* w reżyserii Petera Jacksona).

Czy warto obejrzeć *Fundację*? Jeśli nastawimy się nie na ekranizację powieści Isaaca Asimwa, a na zupełnie nową opowieść osadzoną w universum książkowego cyklu *Fundacja*, to czeka nas naprawdę kawał inteligentnej rozrywki – świetnie zrealizowanej, bardzo ładnie sfilmowanej, która jest czymś więcej niż kosmiczną strzelanką czy opowieścią o superbohaterach ■

P.S. OD REDNACZA

Nie dotyczy powieściowej *Fundacji* – choć jest mi ona zdecydowanie bliższa od *Diuny*. Nie dotyczy też *Fundacji* serialowej – gdyż jej po prostu nie widziałem. Dotyczy naszego nowego Publicysty.

Tomasz Magulski jest moim wieloletnim dobrym znajomym, razem pisaliśmy przed laty do lokalnej prasy (on bardziej jako „realista”, ja bardziej jako „fantasta”). Obecnie m.in. prowadzi stronę internetową Tuba Wejherowa. Jest też

fanem *Gwiezdnych wojen*, *Thorgala*, Mylène Farmer, bywalcem ForceConów i – jak się okazało – czytelnikiem (online) „Informatora”. To sam Qrator zaproponował mi dzielenie się na naszych łamach swymi wrażeniami z fantastycznych nowości. A że zdążyłem docenić jego analityczny umysł i publicystyczną smykałkę – zgodziłem się natychmiast po konsultacji z Redakcją. Witamy Cię więc, Tomku, na naszych łamach ☺



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI ODYSEJA NARODOWA

Czy uwierzycie, że jest kraj z eposem narodowym utrzymanym w konwencji *science fiction* – i w dodatku napisanym wierszem? Tym krajem jest Szwecja, eposem *Aniara*, a jej autorem Harry Martinson, laureat Nagrody Nobla z 1974 roku. Zaś tym, którzy myślą, że przegiąłem – zacytuję słowa współautorki scenografii jego ekranizacji. Otóż nazwała go ona *klasykiem szwedzkiej literatury*; dodając, że *Aniara to poemat, który należy do kanonu*.

No i proszę. A u nas to byłaby *kartka do wyrwania*...

A raczej całe mnóstwo kartek. Bowiem w przekładzie na język angielski, który można odnaleźć w sieci, jest ich dokładnie 57, co daje 114 stron.

No to jeszcze dodam, że ta kosmiczna odyseja została wydana w 1956 roku, kiedy tylko nieliczni spoglądali w górę, zaś w 1959 roku odbyła się premiera opery na jej podstawie. Zatem to, że powstanie też film, było już z góry przesądzone. Na szczęście stało się to

całkiem niedawno, dzięki czemu wszystko wygląda tak, jak powinno; a nawet znacznie lepiej.

Aniara to ośmiokilometrowy oraz kilkudziesięciopiętrowy, luksusowy statek kosmiczny, wiozący na Marsa 80 tysięcy kolonistów. Śmiała wizja, jak na lata pięćdziesiąte, nieprawdaż? W dodatku ma sztuczną grawitację oraz pokładową SI zwaną Mima, która w trybie wirtualnej rzeczywistości odtwarza ludziom spersonalizowane wspomnienia z czasów, gdy Ziemia była jeszcze miejscem odpowiednim do życia. Organizacją tych seansów zajmuje się główna bohaterka filmu, zwana (od nazwy pełnionej funkcji) Mimaroben – lub krócej MR.

Ale oto, w celu uniknięcia kolizji, statek zbacza z kursu, a załoga zmuszona zostaje do pozbycia się całego paliwa. Zamiast trzytygodniowego lotu na Marsa pasażerów czeka więc bezterminowa podróż donikąd. Widzimy, jak zmienia się stopniowo to mikrospołeczeństwo, jak poprzez pozorne wloty nieuchronnie zmierza ku upadkowi. To gorzkie obserwacje – ale bardzo prawdziwe. Polecam! ■

Aniara, Szwecja, Dania, 2018

ocena FilmWeb: 6,1, IMDb: 6,2

scenariusz i reżyseria: Pella Kagerman,
Hugo Lilja
według poematu *Aniara* Harry'ego Martinsona
(1956)

gatunek: dramat, sf

czas: 1 godz. 46 min.

Obsada:

Emelie Jonsson (Mimaroben, ocena 6,8, na plakacie)

Bianca Cruzeiro (Isagel, 6,9)

Anneli Martini (Astronom, 7,0)

Arvin Kananian (kapitan Chefone, 6,4)

Jennie Silfverhjelm (Libidel)

Emma Broomé (Chebeba, 6,3)



Makroorganizm & Mikroorganizmy

RYS.: ADAM MATEJA

POMYŚL: ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI
SCEN.: JAN PLATA-PRZECHLEWSKI



Cykl
**Imperium
galaktyczne**

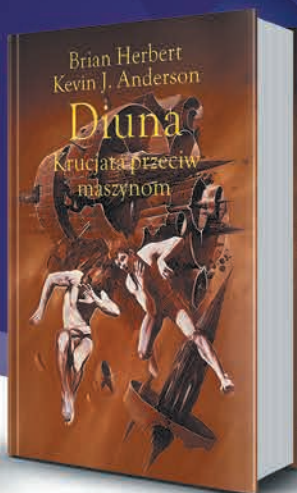


Premiera
II tomu
w czerwcu

Premiera
III tomu
w sierpniu



Drugi tom cyklu
*Pola dawno
zapomnianych bitew*
w nowej szacie graficznej



Długo oczekiwane
wznowienie drugiego
tomu trylogii
Legendy Diuny



Ostatni zbiór opowiadań
mistrza fantastyki
sir Terry'ego Pratchetta